

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 617·50 Marek, Półrocznie 1235·— Mk. Rocznie 2470·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petitowy w części redakcyjn. 50 Mp



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 473.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 50 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 15 października 1921. Nr. 42.

Hyeny walutowe

Tłumy spekulantów walutowych usiłują przemocą wedrzeć się do wiedeńskiego gmachu giełdowego.

Hyeny walutowe.

(Do illustracyi tytułowej).

Wiedeńska giełda była w ubiegłym tygodniu kilkakrotnie widownią burzliwych zajść, stojących w ścisłym związku z gorączkowemi spekulacyami finansowemi, prowadzonemi obecnie na wielką skalę przez rozmaitych aferzystów, starających się na swą korzyść wyzyskać obecne położenie ekonomiczne niemieckiej Austryi. Skutkiem ich machinacyi korona austryacka traciła coraz bardziej na swej wartości, co jednym przynosiło kolosalne zyski, innych zaś,



Nasz nowy minister skarbu: Dr Jerzy Michalski, b. prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz dyr. Banku Krajowego.

to jest ogół, z spekulacyami giełdowemi nie mającym nic wspólnego, przyprawiało o ruinę, utrudniając i tak już bardzo ciężkie ekonomiczne i finansowe warunki. Gra na zniżkę korony prowadzona była na wielką skalę i to tak przez większych finansistów, jak i przez drobny narybek, idący w ich ślady.

Korona austryacka traciła skutkiem tego z dnia na dzień coraz bardziej na wartości, obce waluty osiągały natomiast z jej szkodą bajeczną wprost wysokość. Wszystkie usiłowania rządu, aby temu kres położyć, okazały się bezskuteczne, doprowadzony do ostateczności ogół, postanowił zatem uciec się do samoobrony.

W dniu 20 września b. r. zwarty tłum, złożony z przedstawicieli partyi chrześcijańsko społecznej i socyalistycznej, w liczbie około kilku tysięcy, wdarł się przed gmach giełdowy, aby ze spekulantami giełdowymi zrobić porządek. Silny kordon policyjny nie dopuścił ich do wnętrza, skończyło się jedynie na wysłaniu deputacyi do dyrektora policyi z żądaniem natychmiastowego zamknięcia giełdy, aby w ten sposób położyć kres zbrodniczej działalności spekulantów. Dyrektor odmówił temu żądaniu, oświadczając natomiast, że policya przedsięwzięła energiczne kroki, mające na celu wytępienie spekulacyi. Urządzona z tego powodu obława na hyeny walutowe odniosła pożądany skutek, ponad trzydzieści sztuk ich znalazło się pod kluczem. Poza tem obostrzono warunki dostania się na giełdę i brania udziału w transakcyach, co powinno było wpłynąć na poprawę sytuacyi na rynku finansowym, w gruncie rzeczy przecież na nic się nie zdało, gdyż spekulanci w dalszym ciągu uprawiali „operacye finansowe" w mieszkaniach prywatnych i niektórych lokalach publicznych, znanych ogółowi z ich gromadzenia się tamże. Te nieoficyalne filie giełdy funkcyonowały w dalszym ciągu.

Ale i hyeny walutowe, którym wzbroniono wstępu na giełdę, nie dały za wygraną, postanawiając dostać się tam bodaj przemocą, byle tylko nie utracić żerowiska. Z tego powodu, w kilka dni później, w silnym zastępie ruszyli teraz oni na zdobycie gmachu giełdy. U wejścia powstrzymała ich policya, co jednak nie wpłynęło bynajmniej na zaniechanie zamiaru. Na znak dany przez świstawkę, tłum, uzbrojony w laski i parasole, rzucił się do szturmu na drzwi wejściowe, równocześnie kilkanaście jednostek usiłowało przedostać się przez balustradę, co im się też powiodło. Główny atak na wejście zdołała policya odeprzeć dopiero przy użyciu białej broni. Ekscedentów rozpędzono, wielu z nich aresztowano, tłum zalegał przecież aż do wieczora ulice, wiodące ku gmachowi giełdy, strzeżonemu pilnie przez straż policyjną.

Dzieje się zatem we Wiedniu zupełnie tak samo, jak i u nas, gdzie spekulacye, mające na celu obniżenie wartości polskiej marki, tak się rozzuchwaliły dotychczasową bezkarnością, iż zmusiło to rząd do wniesienia w Sejmie projektu ustawy o karze śmierci na lichwiarzy walutowych, postawionych na równi ze zdrajcami stanu.

Nasz nowy minister skarbu.

Gabinet Ponikowskiego, powołany do ratowania państwa od grożących mu z rozmaitych stron katastrof, między któremi jedno z pierwszych miejsc zajmuje finansowe bankructwo, znalazł się w trudnem położeniu, komu powierzyć tekę skarbu. Kandydatów na nią nie brakło, nie dawali przecież gwarancyi, że potrafią podołać przyjętemu na się zadaniu. Tem się też tłómaczy pewne opóźnienie w nominacyi ministra skarbu.

Od pierwszej chwili oczy wszystkich zwróciły się w stronę dra Jerzego Michalskiego, jako jedynego kandydata odpowiedniego do objęcia tego ciężkiego i odpowiedzialnego posterunku. Nawiązane z nim rokowania uwieńczył pożądany rezultat, dr Michalski przyjął propozycyę, uzależniając jednak wejście w skład gabinetu od spełnienia warunków, bez których nie dałby się pomyśleć sanacya naszych opłakanych stosunków finansowych. Zgodzono się na to, a Naczelnik Państwa podpisał w czasie pobytu swego we Lwowie dekret powołujący prof. dra Michalskiego w skład Rady gabinetowej.

Wybór ten uważać należy za szczęśliwy, dr. Michalski dał się już poznać jako doskonały znawca naszych stosunków skarbowych i gospodarczych i to tak w teoryi, na katedrze uniwersyteckiej, jak i w praktyce, na rozlicznych stanowiskach społecznych, jakie dotąd zajmował.

Na jednym z zeszłotygodniowych posiedzeń Sejmu wygłosił nowy minister swą mowę programową, która streszcza się w następujących trzech częściach.

Minister podał 1) charakterystykę dotychczasowej gospodarki finansowej państwa, 2) obecny stan finansowy i 3) program sanacyi finansów.

Minister wskazał na zgubne skutki pokrywania



Ćwierćwiecze pracy artystycznej: Artysta malarz, Józef Męcina-Krzesz.

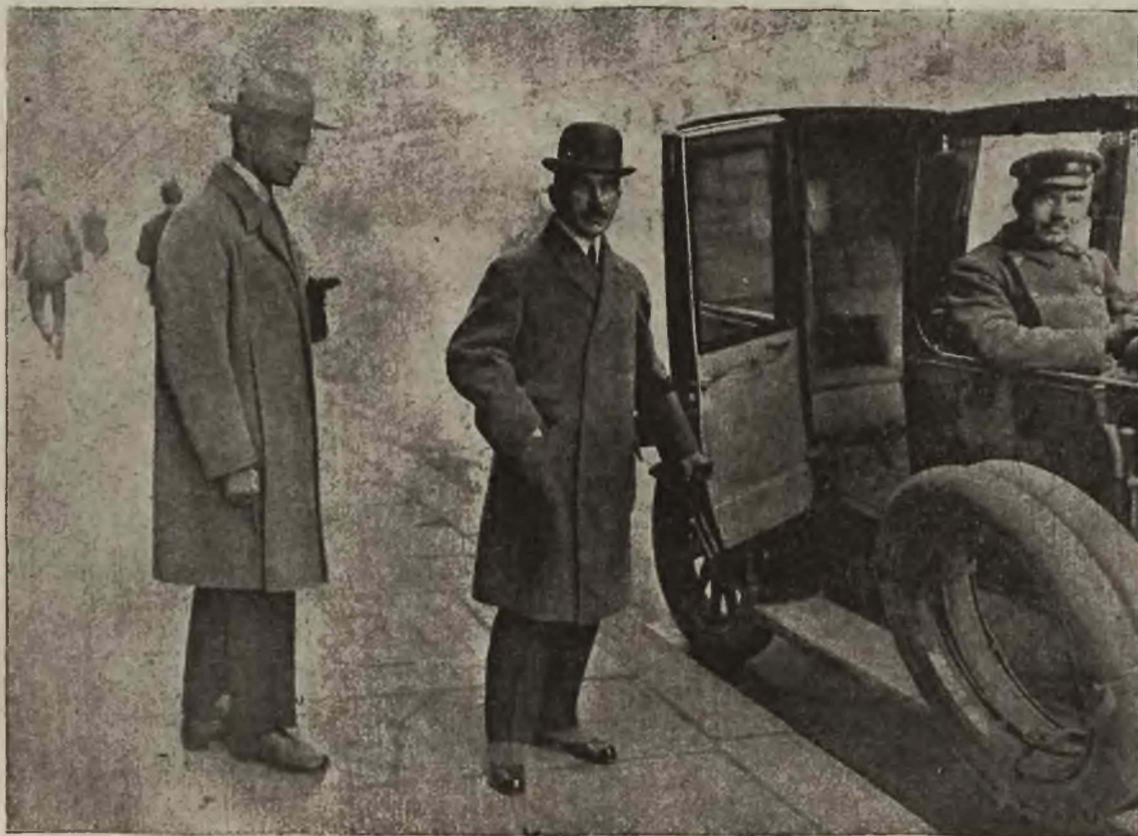
wydatków przez emisyę banknotów, przez co deficyt w końcu roku dosięgnie prawdopodobnie sumy 180 miliardów. Minister będzie się starał uchylić skutki tego przez środki zmierzające do podniesienia produkcyi krajowej, przez odciążenie skarbu i przez oszczędności w wydatkach, przez zastosowanie środków, zmierzających do natychmiastowego wydatnego zasilenia skarbu. Dla podniesienia produkcyi proponuje minister zawieszenie zakazu pracy ponad określone godziny.

W celu odciążenia skarbu proponuje redukcyę urzędników. Mamy około 30.000 urzędników na 30 milionów mieszkańców. Dalej proponuje zniesienie szeregu placówek zagranicznych, oraz utworzenie podsekretaryatu stanu w ministerstwie spraw wojskowych dla spraw gospodarczych. Dla zasilenia skarbu proponuje minister jednorazową daninę, która ma być ściągnięta do końca roku. Równocześnie zapowiada zniesienie pożyczki przymusowej.

Minister wyraża nadzieję, że w tych warunkach przestanie działać prasa biletowa, oświadcza się jako zwolennik wolnej gospodarki, którą uważa za warunek *sine qua non*. Podkreśla, że dla tych wszystkich prac konieczne jest współdziałanie całego społeczeństwa, zapowiada, że będzie utworzona rada finansowa, wreszcie podkreśla, że nie przemawia w imieniu partyi, lecz że chce być ministrem skarbu całej Polski.

Exposé dra Michalskiego spotkało się w Sejmie z życzliwem na ogół przyjęciem, podobała się zwłaszcza zapowiedź energii, jaką zamierza zastosować przy przeprowadzeniu swego programu, a która streszcza się w słowach: żelazna miotła, żelazne nożyce i żelazna śruba. Jedynie prasa socyalistyczna występuje przeciw drowi Michalskiemu, stojąc w obronie zagrożonego rzekomo ośmiogodzinnego dnia pracy.

Program swój rozwinął dr. Michalski szczegółowo w Komisyi skarbowo-budżetowej i znalazł tam jego aprobatę. Warunki, jakie uważa za nieodzowne do przeprowadzenia reformy skarbowej, przyjęto jednomyślnie. Streszczają się one w tak popu-



Polskie przedstawicielstwo w Berlinie: Nowy poseł polski przy rządzie Rzeszy Niemieckiej dr Jerzy Madeyski, po przybyciu na swe nowe stanowisko

lamnie dziś zwanych „Dwunastu przykazaniach skarbowych dra Michalskiego". Są one następujące:

Artykuł I. upoważnia Radę ministrów do zreorganizowania władz i urzędów cywilnych i wojskowych, skasowania niektórych władz i przekazania poszczególnym innym władzom i urzędom.

Artykuł II. normuje, że uchwały Rady ministrów powodujące wydatki ze skarbu państwa, muszą zapadać za zgodą ministra skarbu. Również zaciąganie zobowiązań pieniężnych wymaga zgody ministra skarbu.

Artykuł III. upoważnia ministra skarbu do wydzierżawienia zakładów i przedsiębiorstw państwowych przedsiębiorstwom zagranicznym, krajowym lub mieszanym; wydzierżawienie kolei państwowych wymagać będzie zezwolenia Sejmu.

Artykuł IV. określa, iż przepisom karnym ustawy z 18 grudnia 1919 o czasie pracy w przemyśle i handlu nie podlegają w ciągu dwóch lat od dnia ogłoszenia ustawy pracodawcy i pracownicy w tym wypadku, gdzie praca odbywa się za dobrowolną zgodą pracowników o 2 godziny dłużej nad czas określony ustawą. Postanowienia powyższe stosują się też do czasu sprzedaży towarów oraz otwierania sklepów.

Artykuł V. normuje, iż wykonanie reformy rolnej nastąpi na podstawie planu finansowego, umożliwiającego realizacyę tej ustawy bez trwałego obciążenia skarbu i deficytu ostatecznego. Ceny parcelacyjne w kontraktach sprzedaży ziemi przy parcelacyi prywatnej będą zatwierdzane przez urzędy ziemskie z uwzględnieniem przeciętnych cen targowych.

Artykuł VI. uchyla ustawę o przymusowej pożyczce i ustanawia jednorazową daninę narodową, którą określi osobna ustawa.

Artykuł VII. ustanawia Radę finansową, która się składa z 6 członków, wybieranych przez Sejm i 9 mianowanych przez Radę ministrów na wniosek ministra skarbu. Regulamin dla Rady finansowej wyda minister skarbu. Radzie finansowej przysługuje prawo inicyatywy.

Artykuł VIII. Sejm nie może uchwalić żadnych wydatków bez zgody rządu i równoczesnego uchwalenia pokrycia.

Artykuł IX. zawiera nowelę do artykułu IV. ustawy z 8 lipca 1920 w przedmiocie udzielenia ministrowi skarbu pełnomocnictw do regulowania obiegu pieniężnego za granicą. Artykuł ten zawiera postanowienia karne za naruszenie powyższej ustawy. Kary przewidziane są: więzienie do 5 ciu lat i grzywna do 10 mil. marek.

Artykuł X. upoważnia ministra skarbu do zawierania umów, zmierzających do uzdrowienia waluty.

Artykuł XI. powierza wykonanie ustawy ministrowi skarbu oraz władzom ministeryalnym.

Artykuł XII. Ustawa wchodzi w życie z dniem jej ogłoszenia.



Wybuch w niemieckiej fabryce chemicznej: Delegat rządu francuskiego, jenerał de Metz składa wyrazy współczucia na ręce prezydenta Rzeszy Eberta.



Wybuch w niemieckiej fabryce chemicznej: Ogólny widok zniszczonych urządzeń fabrycznych w Oppau, obok Mannheimu.

Polskie przedstawicielstwo w Berlinie.

(Do illustracyi na str. 2).

Polska posiada już za granicą we wszystkich państwach swe dyplomatyczne przedstawicielstwa, nawzajem w Warszawie reprezentowane są wszystkie większe państwa światowe. Ostatnie z naszych przedstawicielstw utworzono przy rządzie sowieckiej Rosyi i Ukrainy, mogło to bowiem nastąpić dopiero po wejściu w życie traktatu pokojowego z temi państwami.

Nie wszystkie nasze zagraniczne placówki polityczne mają dla nas jednakowe znaczenie. Niektóre z nich mają bardzo ważne zadania do spełnienia, kierownictwo spraw zagranicznych nieraz też długo się nad tem zastanawia, komu oddać w ręce zastępstwo naszych interesów przy tym lub owym rządzie. Do takich ważnych posterunków dyplomatycznych należą przedewszystkiem stolice wszystkich państw, tworzących Koalicyę. Dyplomacya nasza musi tam bacznie śledzić kierunek polityki światowej i stawać w obronie zagrożonych nieraz naszych interesów, które się tam ważą. Skutek jej zabiegów nie zawsze odpowiada zamierzeniom, winę tego przypisać należy w pierwszym rzędzie zbyt częstym zmianom na stanowisku kierownika polityki zagranicznej, a pociągają one za sobą także zmiany w naszych zagranicznych przedstawicielstwach. Zanim dany poseł miał czas rozglądnąć się w sytuacyi, już czeka go inne przeznaczenie. Na tem cierpi dotkliwie nasza zagraniczna polityka, nie mogąca się należycie ustalić.

Do najważniejszych dla nas zastępstw dyplomatycznych za granicą należy poselstwo przy rządzie Rzeszy Niemieckiej, wymagające też odpowiedniego zastępcy, któryby dawałby gwarancyę, że podoła swym ciężkim obowiązkom. Stosunki nasze z Niemcami są bardzo bliskie. Łączy nas bezpośrednie sąsiedztwo, dzieli zaś rozbieżność interesów, która teraz naprzykład ujawnia się przy załatwianiu sprawy górnośląskiej i Gdańska. Ten, choć wolne miasto, grawituje stale ku Rzeszy Niemieckiej. Dość kłopotu mamy także z owym „korytarzem" niemieckim, wiodącym na podstawie postanowień traktatu wersalskiego z krajów Rzeszy przez ziemie polskie do Prus Wschodnich. Pozatem polityka wschodnia Niemiec, prowadzona z całą ekspanzyą, kolidować musi niejednokrotnie z interesami polskimi.

Z tych wszystkich powodów stanowisko dyplomatycznego naszego zastępcy w Berlinie uważać musimy za bardzo ważne i nie dziwimy się bynajmniej, że przy obsadzaniu go ponownem głęboko zastanawiano się nad doborem odpowiedniego kandydata.

Posłem polskim i upełnomocnionym ministrem przy rządzie Rzeszy został mianowany dr. Jerzy Madeyski. Wybór ten uważać należy za trafny, dotychczasowa działalność bowiem dra Madeyskiego dała go poznać jako gruntownego znawcę stosunków politycznych, obdarzonego energią i silną wolą, przedewszystkiem zaś gorącą chęcią wiernego służenia Ojczyźnie. Ostatnio pełnił dr. Madeyski obowiązki zastępcy przewodniczącego polskiej Komisyi dla układów z Gdańskiem, wywiązując się ze swych zadań ku ogólnemu zadowoleniu.

W dniu 6. października b. r. wręczył nowomianowany poseł polski w Berlinie na specyalnej audyencyi swe listy uwierzytelniające prezydentowi Rzeszy, Ebertowi, przy czem wygłosił uroczyste przemówienie w języku polskim.



Wybuch w niemieckiej fabryce chemicznej: Jedna z ulic w miejscowości Oppau zniszczona skutkiem wybuchu.



Wybuch w niemieckiej fabryce chemicznej: Żołnierze francuscy spieszący z pomocą dotkniętej katastrofą ludności w Oppau.

Czterdziestolecie pracy artystycznej.

(Do illustracyi na str. 2).

W dniu 15 października b. r. obchodzą artystyczne sfery Krakowa, a z niemi i cały ogół polski, czterdziestolecie artystycznej pracy znanego i cenionego nietylko u nas, ale i za granicą, artysty malarza, Józefa Męciny Krzesza. Uczeń mistrza Matejki, działalność swoją artystyczną rozwinął w różnych kierunkach, głównie zaś w dziale malarstwa rodzajowego, religijnego i portretu, spotykając się z zasłużonem uznaniem fachowej krytyki, tak naszej, jak i obcej.

Urodzony w Krakowie w r. 1860, po ukończeniu szkoły realnej odbył studya malarskie w ówczesnej Szkole Sztuk Pięknych pod kierunkiem mistrza Jana Matejki, należąc do ulubionych jego uczniów. Już tutaj w majsterszuli zwrócił na siebie uwagę swych kierowników talentem malarskim, a dzieło jego z tych czasów „Bitwa pod Orszą", zwróciło ogólną uwagę, tak swą koncepcyą, jak i artystycznem wykonaniem. Za swe prace nagrodzony medalem i stypendyum cesarskiem poświęcił się następnie studyom w Paryżu, gdzie przez dziewięć lat kształcił się pod kierunkiem takich światowych powag jak J. P. Laurens, Benjamin Constant, Martin i Humbert, wystawiając swe prace w Salonie des Champs Elysees. W r. 1890 odbył podróże artystyczne do Włoch, Londynu, Berlina, Wiednia, Monachium, jak również na Wschód do Rosyi. W tych czasach zdobył kilka medali i odznaczeń i powołany został na członka „Societe pour les beaux Arts et les Lettres" w Paryżu. Od roku 1897 mieszka stale i pracuje w Krakowie.

Do najwybitniejszych dzieł jego należą: „Ojcze nasz" w siedmiu obrazach, „Z dymem pożarów", „Jezus wśród tłumu", „Ostatnie akordy Szopena", „Alkoholicy w szpitalu św. Anny w Paryżu", „Przekleństwo", „Sen dziecięcia Jezus", wiele portretów i innych prac, wystawianych w kraju i za granicą.

Uroczystość jubileuszowa ma w programie otwarcie zbiorowej wystawy dzieł Krzesza, wręczenie mu dyplomu członka honorowego „Związku Plastyków Polskich w Krakowie", wieczorem zaś odbędzie się na cześć Jubilata koleżeński bankiet, który będzie równocześnie pożegnaniem artysty, przenoszącego się na stały pobyt w Poznańskie.



Biały Orzeł na Ratuszu lwowskim: Biały Orzeł wykonany w pracowni art.-ślusarskiej F. Będkowskiego, dar lwowskiego Cechu ślusarzy dla rodzinnego miasta.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

62 I.

Hypnotyzm, suggestya, wszystkie formy udoskonalonego magnetyzmu i władzy, jaką jeden człowiek posiadać może nad ludźmi, nadawały mojej osobie aureolę tajemniczą, mistyczną, powiększająca obawę, którą już wzbudzałem i szacunek, graniczący z bałwochwalstwem.

Wszelkie przedsięwzięcia moje zawsze uwieńczone były dobrym skutkiem, wszystkie życzenia moje wysłuchane, jedna Marya tylko opierała się mojej miłości, tylko jej dumy i pogardy zwalczyć nie mogłem! I nie zwalczyłem jej nawet później, choć kobieta ta przez lat piętnaście żyła pod moim dachem i zależną była tylko odemnie!

Już od pewnego czasu otrzymałem od Mojżesza Kabiba zaproszenie do wejścia do jego domu. Korzystałem też z niego często, ale prawie zawsze Marya unikała spotkania się ze mną i zamykała się w swoim pokoju, a wówczas żadne prośby ani nalegania nie miały wpływu nad nią.

Ona mnie nienawidziła, czułem to doskonale i do tej nienawiści dołączył się jeszcze wstręt nieprzezwyciężony i obawa. Zdarzyło się raz, że pozostałem z nią na chwilę sam w pokoju. Chciałem ująć jej rękę, lecz z okrzykiem strasznego wstrętu cofnęła się blada i wybiegła z pokoju. Po tem wydarzeniu nie pokazała mi się wcale przez parę tygodni.

Mojem najzręczniejszem natchnieniem było przekonanie starego Mojżesza, że żona jego jest doskonałem medyum hypnotycznem i że możemy wykorzystać te objawy w tajemnych celach mistycznych i także w celach materyalnej natury.

Mojżesz Kabib był bardzo chciwym, podsunąłem mu więc nadzieję, że przy pomocy hypnotycznego snu Maryi dowiemy się, gdzie kryją się na większe skarby świata, ukryte w ziemi, w grotach i kopalniach, jak również w kasach ludzi bogatych — gdzie ukryte są i niewyzyskane jeszcze kopalnie złota i drogich kamieni.

Pomału udało mi się wpoić w niego, że przez Maryę możemy stać się największymi bogaczami, ale żeby to urzeczywistnić, należało ją koniecznie pozyskać seansom spirytystycznym.

Widziałem, jak jego oczy błyszczały gorączkową żądzą, kiedy kierowałem rozmowę na ten temat, który go zawsze interesował i podniecał i prędko zrozumiałem, że łatwo zgodzi się na moją propozycyę. Doprowadziłem zręcznością do tego, że przyjmował mnie u siebie nawet w nocy, czegoby nigdy nie uczynił dla kogoś drugiego.

Ale raz tylko wśród nocy danem mi było ujrzeć Maryę i okazała się wówczas jeszcze zimniejszą i obojętniejszą niż zazwyczaj.

Ale jakże ona była wówczas piękną! Każdy jej ruch, nacechowany niewymowną pogardą i dumą, obudzał tylko jeszcze silniejszą namiętność we mnie. Kiedy spostrzegła, że mąż jej wpuszcza mnie do swojego domu nawet w nocy — zamknęła się zupełnie w swoim pokoju, nie ukazując mi się już wcale. Zamknęła się na klucz i na zasówki, jak przed złodziejem i zbrodniarzem, godzącym na jej życie! Pozostawałem więc sam z Mojżeszem w jego pokoju, tłumiąc w sobie wściekłość, namiętność i zazdrość. Córka jej, mała Rachela, przejęta się także tym wstrętem i pogardą, którymi mnie obrzucała matka. Kiedy miała pięć lat zaledwie, unikała mnie już, kryła się przedemną, nie pozwalała, abym dotknął nawet jej sukienki i patrzała zawsze na mnie z odrazą i niepokojem, nienaturalnym w jej wieku.

Dziewczynka była bardzo piękna, tak jak matka i żyła tylko przy niej, pieszcząc ją, uwielbiając, a zachowując się zimno i obojętnie wobec wszystkich, zbliżających się do Maryi, niewyłączając ojca.

Doszedłem do przekonania, że Rachela musiała być dzieckiem Johanna Straube, gdyż inaczej nie mogłem sobie wytłumaczyć tej miłości zazdrosnej, którą Marya otaczała córkę swoją i niechęci Racheli względem starego Mojżesza.

Zacząłem więc nienawidzić małą Rachelę i przysiągłem sobie rozłączyć ją z matką w przyszłości.

Uczyniłem to rzeczywiście, ale jakaż straszna kara spadła na mnie za tą zbrodnię!

W tym czasie majątkowy stan interesów starego Mojżesza psuć się zaczął. Skorzystałem z tego, aby podsunąć zręcznie pomoc pieniężną, radziłem mu, aby był hojniejszym dla żony i prowadził ją na zabawy i widowiska, a to w celu ogłuszenia Maryi i uczynienia ją powolniejszą dla moich zamiarów.

Mojżesz poszedł za moją radą. Marya z początku niechętnie przyjmowała tę zmianę trybu codziennego życia, ale ambitna jej natura wzięła górę i zaczęła się dobrowolnie oddawać zbytkom i radościom życia.

Wkrótce została otoczoną, podziwianą, a ja ze smutkiem patrzałem na ten jej tryumf, wywołany przezemnie.

Dom Mojżesza Kabiba stał się teraz zgromadzeniem licznego i wesołego towarzystwa. I w dzień i w nocy odwiedzali go liczni znajomi starego Mojżesza, wiedząc, że zastaną tam zawsze stół suto zastawiony i sposobność do niejednej miłej rozrywki. Szał mój miłosny wzrósł w tym czasie do takich granic, że kupiłem dla kobiety ukochanej prześliczny pałacyk, który przy jakiejś sposobności w zręczny sposób ofiarowałem Mojżeszowi Kabib.

W pałacu tym wydawaliśmy huczne, wspaniałe zabawy, bale, polowania, przedstawienia teatralne.

Mówiono o Mojżeszu Kabib, że traci na żonę zdobyty w zagadkowy jakiś sposób majątek, a tymczasem to ja byłem tym, który go do tych zbytków popychał. Marya nie wiedziała o niczem. Jestem pewnym, że gdyby była znała pochodzenie tych pieniędzy, byłaby rzuciła mi je w twarz z pogardą.

Traciłem dziesiątki tysięcy rubli dla kobiety, która mi ręki swojej do ucałowania dać nie chciała!

Ale cóż! Marya była mojem szaleństwem i już wówczas czułem, że żyję i zginę tylko przez nią!

Teraz, po latach piętnastu, zdradziwszy ją raz tylko dla jej córki Racheli i to dlatego tylko, że Rachela była jej córką i że tak bardzo podobną była do niej — wyznaję, że nigdy, nigdy, ani matka, ani córka nie należały do mnie. A przecież Marya Kabib tyle lat przebywała pod moim dachem.

Czyż nie powinienem umrzeć teraz, teraz, kiedy ona umarła, a Rachela stracona dla mnie na zawsze! Czy nie powinienem umrzeć, skoro Marya miała innego kochanka, człowieka, którego prawie nie znała, któremu oddała się nagle i do którego należała przez miesiąc cały, podczas kiedy ja zamierałem z rozpaczy i wściekłości bezsilnej!?

Wspominałem już w tej mojej spowiedzi, że wpoiłem w Mojżesza Kabiba przekonanie, że żona jego w stanie hypnotycznym mogła dojść do szczytu jasnowidzenia i wprowadzić nas na ślad wielu skarbów, ukrytych dotąd w ziemi.

Ale czy Marya pozwoli na uśpienie jej? Życie w zbytkach i wygodach, do którego przyzwyczaiła się dzięki mnie, uczyniło ją jeszcze więcej niedostępną i dumną. Jednakże pewnej nocy, przy pomocy Mojżesza, mogłem przedsięwziąć pierwszą próbę, na której tak bardzo mi zależało. O drugiej godzinie po północy wszedłem do domu Mojżesza Kabiba i drżąc z radości i trwogi, wsunąłem się do pokoju Maryi, wprowadzony tam przez jej męża.

Po raz pierwszy, odkąd znałem Maryę, przestępowałem próg jej pokoju! Ale w tej chwili uczułem, że cała moja siła magnetyczna opuszcza mnie i że nie będę w stanie poddać jej mojemu wpływowi.

Na szmer, jaki uczyniliśmy wchodząc, Marya obudziła się wylękniona i wyprostowawszy się na łóżku, zaczęła wołać do męża, aby mnie wypędził z pokoju. Była tak oburzona i z taką pogardą i wstrętem zwracała się do mnie, że cała moja zazdrość i wściekłość, utajone na chwilę, obudziły się we mnie z podwójną siłą. I nagle opanowałem się, nabierając tej mocy strasznej, przed którą uginały się wole najenergiczniejsze i najżywotniejsze, przed którą słabły dusze najodporniejsze i silne!

Spojrzałem jej prosto w oczy, koncentrując w tem spojrzeniu całą moją energię i natychmiast objawy walki najstraszniejszej zamanifestowały się na jej twarzy pobladłej i wzburzonej. Oczy jej zamgliły się pod prądem magnetycznym, który szedł odemnie ku niej i całe ciało drżeć zaczęło.

Walka ta jednak trwała dosyć długo. Marya broniła się zaciekle przed władzą moją, wiła się jak w konwulsyach, chcąc koniecznie odepchnąć od siebie moc moją, czując, że sen ten, do którego chcę ją zmusić, będzie jej zgubą.

Tymczasem jednak ulegała mi powoli, stopniowo i zaczynała zapadać w odrętwienie hypnotyczne, ja zaś czułem, że taka siła i potęga biła odemnie, że mogłem się ważyć na najtrudniejsze próby i eksperymenta. W oczach moich, w oczach zaciskających jej skronie skupiało się całe moje życie, wyolbrzymione potężnie w nadludzkim wysiłku woli i intensywności.

Kiedy Marya Kabib zupełnie już uśpioną została, wyczerpany, osłabiony upadłem na krzesło, jak człowiek nieżywy.

Ale groza tego, co uczyniłem, objawiła mi się później dopiero, kiedy ujrzałem, że Marya zapadła w stan ciężkiej, głębokiej katalepsyi.

Całą noc leżała pogrążona w śnie hypnotycznym i wszystkie wysiłki moje, aby ją zbudzić i zwalczyć jej odrętwienie, okazały się bezskuteczne.

Stary Mojżesz Kabib był zrozpaczony. Sądził, że zabiłem Maryę i wszystkie gorące moje zapewnienia i słowa przyjmował niedowierzająco i z niepokojem.

Znałem kilka środków skutecznych w budzeniu ze snu hypnotycznego, ale nazajutrz zastosowałem je bez najmniejszego rezultatu.

Najstraszniejsza była dla mnie chwila, kiedy mała Rachela przybiegła, jak to czyniła dnia każdego, ucałować matkę. Nie mogąc jej się dobudzić pieszczotą i pocałunkami, zaczęła rozpaczliwie płakać i krzyczeć, że to ja zabiłem jej matkę.

Przez trzy dni i trzy noce usiłowałem napróżno powrócić życie normalne temu bezwładnemu ciału, zmożonemu kamiennym, niezdrowym snem — a doszedłem tylko do stwierdzenia niemocy mojej i bezsilności.

Mojżesz Kabib rozpaczał i płakał, mała Rachela zaś biegała po pokojach, łkając głośno. Ja sam byłem bliski obłędu.

Nie wiedziałem już, do jakiego środka się uciec, aby ratować Maryę. A jeżeli ona miała pozostać tak do końca życia!? Wiedziałem, że można żyć długie lata, będąc pogrążonym w śnie kataleptycznym.

Przez te okropne trzy dni życie objawiało się dosyć normalnie w ciele Maryi, ale czwartego dnia spostrzegłem, że twarz uśpionej bledszą była, jak gdyby zwiędnięta, a puls znacznie się osłabił.

Nie jestem w stanie opisać, co działo się ze mną, kiedy dostrzegłem te fatalne objawy.

Własnemi rękami zabiłem kobietę, którą ubóstwiałem i teraz ona umierała w moich oczach, a ja nie mogłem pospieszyć na jej ratunek! Nie chciałem i nie mogłem uciekać się do czyjejś pomocy, bo obawiałem się, że inny lekarz wykryje prędko powód tego snu, tak podobnego do snu śmierci i mnie i starego Mojżesza pociągnie do odpowiedzialności za usiłowane morderstwo.

Doprowadzony do ostatecznej rozpaczy, wpadłem w końcu na myśl iście szaloną. Nie mogłem pozwolić za żadną cenę, aby Marya umrzeć miała w tym domu i aby jej ciałem zajęli się ludzie obcy.

A ona umierała naprawdę! Puls jej stawał się coraz słabszy i mogłem się spodziewać, że zgaśnie na zawsze w tym domu, nie przebudziwszy się, nie obdarzywszy ostatnim pocałunkiem jedyne, ukochane swoje dziecko.

Czwartej nocy po długich rozmyślaniach zawołałem na Mojżesza Kabiba, płaczącego bezradnie przy łóżku Maryi i powiedziałem mu, że Marya lada chwila umrzeć może, a może nawet już umarła. Powiedziałem, że pchani żądzą wzbogacenia się, popełniliśmy zbrodnię i że władze rosyjskie nieubłaganie w takich wypadkach zasadzą nas niechybnie na długoletnie więzienie, tembardziej, że już nas uważały za osobistości podejrzane, oddające się ukrytym praktykom. Dodałem jeszcze, że chcąc ukryć naszą zbrodnię, należało wywieźć zwłoki Maryi gdzieś daleko. Przekonałem go, że ja tylko mogę się podjąć tego trudnego zadania i że dziś w nocy jeszcze opuszczę Moskwę, uwożąc Maryę w zamkniętym powozie — on zaś, dla zmylenia śladów, musi uciekać w inną stronę i że ja tylko jeden mogę wiedzieć, gdzie się schronił. Dodałem oczywiście, że dam im potrzebne pieniądze do jej ucieczki — bardzo dużo pieniędzy!

Z początku opierał się. Człowiek ten na swój sposób kochał Maryę i nie chciał jej opuścić

żywą czy umarłą; Musiałem dosyć długo przechowywać go. Ale zdecydowany już byłem na wszystko, byleby tylko Maryi nie zostawić w jego rękach. Zrozumiał w końcu, że byłem gotów sam wyznać wszystko i zdradzić przed władzami naszą wspólną tajemnicę — niż opuścić Maryę. Pogróżki moje silne na nim uczyniły wrażenie, ale został przekonany najwięcej zapewnieniem mojem, że oddam mu Maryę, jeżeli okaże się, że ją jeszcze uratować można. Przysiągłem mu to uroczyście, wiedząc, że popełniam krzywoprzysięstwo jawne. Ale cóż mnie wtedy prócz Maryi obchodzić mogło! Byłbym świat cały zdradził, żeby tylko zachować ją przy sobie! Plan mój wykonałem piątej nocy. Śnieg zasypywał drogi padając bezustannie wielkimi gęstymi płatami. Dwa powozy oczekiwały po północy przed domem Mojżesza Kabiba. Stary, trzymając małą Rachelę uśpioną w ramionach wsiadł do jednego z nich, ucałowawszy przedtem stokrotnie ziemię i martwą twarz swojej żony. Marya jednak żyła jeszcze. Ale życie w niej gasło jak lampa, w której nagle zabrakło oliwy.

Sądziłem, że umrze mi w drodze, pośrodku śnieżnych stepów Rosyi i nie miałem już żadnej nadziei utrzymania jej przy życiu. Wszedłem jednak do drugiego powozu trzymając te zimne zwłoki w ramionach, tak, jak gdybym trzymał w nich tablice z przykazaniami Mojżesza.

Przysiągłem Mojżeszowi Kabib w imię naszego Boga, że przeszlę mu wiadomości o Maryi jakiemi by one były, ale postanowiłem nie uczynić tego i uciekać tak, aby nikt, nigdy odszukać mnie już nie mógł.

Aby posiadać to ciało bezwładne poświęciłem majątek, popełniłem zbrodnię, pozbyłem się wolności i ryzykowałem życie. Gdyby nawet Marya umarła, nie byłbym nigdy opuścił jej zwłok.

Mojżesz Kabib, uciekając, zwrócił się ku granicy austryackiej, ja zaś skierowałem się ku Polsce.

Dzień cały jechaliśmy, brnąc w okropnych zaspach śnieżnych i nie zauważyłem, aby kto nas ścigał lub śledził.

Własnemi rękami spreparowałem płyn bardzo silny, któryby powrócił siły człowiekowi najbardziej wyczerpanemu i co kilka godzin wlewałem łyżeczkę tego płynu w usta Maryi. Na krótką chwilę puls jej wówczas wzmacniał się i lekki rumieniec zjawiał się na jej twarzy, lecz ten promień życia był za nikły, aby się mógł utrzymać długo.

W drugim dniu naszej ucieczki zauważyłem, że jakieś sanie, zaprzągnięte w trzy konie, doganiały nas. Wkrótce jednak przekonałem się, że odległość między moim zaprzęgiem pocztowym a tamtą trójką nie zmniejsza się wcale. Tamte konie musiały być słabsze od moich, a w tej pustyni śnieżnej, którą przebywaliśmy, dopędzić nas tak łatwo nie mogły. Jednakże zaniepokojony zostałem trochę ukazaniem się tej trójki. Kto mógł nas ścigać! To nie mógł być Mojżesz Kabib, bo ten ulegając mojej woli i obawie przed władzami, pędził już w stronę Wiednia. Nie była to także policya, bo ta ścigałaby mnie konno, a nie saniami nędznemi, w których znajdowało się prawdopodobnie tylko dwoje ludzi.

Na wszelki wypadek kazałem mojemu pocztylionowi przyspieszać i wkrótce straciliśmy tamtą trójkę z oczu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

8)

— Jak to? jakżebym mógł wyzyskiwać pani pracę i czas...

— Proszę pana, zajmuję tutaj bardzo skromne stanowisko, nie sądzę jednak, aby pan chciał mnie obrazić, nie przyjmując odemnie koleżeńskiej przysługi.

Przyciszony a przecież tłumiony głos Bronki, drgający akcentem tłumionej namiętności, przejął Romana niezrozumiałem dla niego samego wzruszeniem, ujął drobną rękę dziewczyny i podniósł ją do ust.

— Przyjmuję i dziękuję pani serdecznie.

Bronce zaszumiało w głowie, jak po wypiciu kieliszka mocnego wina. Dotknięcie gorących warg mężczyzny sprawiło jej wrażenie rozkosznego bólu. Wyrwała rękę, chcąc uciec jak najprędzej, aby zapanować nad sobą, aby się nie zdradzić.

— Panno Bronisławo... — zatrzymał ją głos Romana.

— Słucham pana.

Królecki wsparł się łokciem o biurko, spoglądał na nią z odcieniem przekornej filuterności.

— Panno Broniu, pani jest kobietą rozumną, nie pogniewa się o to, co powiem... Jest pani niezrównaną pracowniczką, idealną koleżanką, pisze pani na maszynie jak anioł — o ile anioły pisują wogóle na maszynie — oryentuje się pani nadzwyczajnie w ekonomicznych referatach, czytała pani Kanta, ależ to wszystko nie przeszkadza, żeby się pani czesała trochę inaczej i ubierała nieco jaśniej, weselej... pani się niepotrzebnie postarza i szpeci.

Jeszcze nie dokończył tych słów, a już żałował, że je wypowiedział. Przypuszczał bowiem, że Bronka albo zmiesza się niesłychanie, albo obrazi się i wybuchnie oburzeniem.

Ani jedno ani drugie. Bronka podniosła na niego swoje czarne, w tej chwili dziwnie promienne oczy i rzekła z prostotą.

— Dobrze, postaram się.

* * *

Stefa Łączkówna, powróciwszy do domu na obiad, zastała w mieszkaniu Woźniewicza. Młodzieniec w skromnej i układnej postawie stał przed starą Łączkową, która rozczerwieniona jak burak, wymachiwała tak gwałtownie rękami, że aż rozlatywały się jej poły barchanowego, zatłuszczonego kaftana.

Na widok wchodzącej jej córki obróciła się gwałtownie ku niej.

— A, jesteś nareszcie!... Cóż to panienka tak późno z biura wraca? — podkreśliła dobitnie słowo z biura.

Na twarz Stefki buchnęły płomienie gniewu.

— Aha, widzę, że tu już mama miała informacye! Czy pan jest może z tajnej policyi?

— Panno Stefanio, ja uważałem sobie za obowiązek...

— A mnie dyabli do tego, co pan sobie uważa za obowiązek!... Ja się pytam, jakiem prawem pan się miesza do moich spraw?!

— Jestem panu bardzo wdzięczna, bo gdyby nie on, nie miałabym pojęcia, jakie córeczka ma śliczne zamiary na przyszłość! do teatru! komedye pokazywać, gołem ciałem, Boże przebacz, świecić i zgorszenie wywoływać!... To ma być los, to ma być zajęcie dla panienki, której ojciec był urzędnikiem uniwersytetu...

— Jakim tam urzędnikiem i co uniwersytet ma do mojej przyszłości!... Jestem pełnoletnia i zrobię co mi się podoba. Da mi mama może majątek, czy co?...

— Masz posadę, możesz wyjść zamąż...

— Gwiżdżę na to! Ja muszę zrobić karyerę, rozumie mama, karyerę! Zaangażowałam się już, dyrektor powiedział, że ja mam talent.

— Jaki talent? do czego?...

— E, co się tam mama na tem rozumie!

— Przeklnę cię, wyrodna córko.

— Fiu-u-u-u!...

— To ty się przekleństwa matki nie boisz?

— Jak ja będę miała auto, brylanty, futra, to się i matka udobrucha.

Zamieniając ze sobą te zdania, biegały obie po pokoju, potrącając sprzęty i siebie nawzajem łokciami. Były w tej chwili ogromnie do siebie podobne przez szorstkie i gwałtowne ruchy, krzykliwy głos i wyraz złości, uwydatniający trywialny rysunek ich twarzy.

Woźniewicz wodził za Stefką oczami zdziwiony, zaskoczony. Stefa przedstawiła mu się dzisiaj jakoś zupełnie inaczej. Ta jego wymarzona, ukochana dziewczyna jakże ona przypomina teraz rozżartą w kłótni przekupkę przedmiejską.

Stefka nagle przypomniała sobie o nim.

— A pan tutaj czego jeszcze? wypraszam sobie wtrącanie się! patrzcie go! opiekun nieproszony!... szpicel! Żebym pana tutaj więcej nie widziała, bo...

Julian wyprostował swoją dumną postać. Był sino blady, tylko na skroniach pojawiły mu się jakieś krwawo-czerwone plamy. Cała ambicya jego, obrażona delikatność i zdeptane brutalne uczucie zbuntowały się w nim.

— Może pani być pewna, że już więcej tutaj nigdy nie przyjdę — pomimo wysiłku woli głos mu drżał lekko — żegnam i przepraszam.

Był tak wzburzony, że wychodząc nie dosłyszał głośno wypowiedzianych słów Łączkowej:

— Bój się Boga, Stefa, coś ty zrobiła?! przecież on się chciał naprawdę z tobą żenić.

Woźniewicz na odchodnem potrącił jakąś kobietę, która zaklęła dosadnie i omal, że nie przewrócił dziecka, które wybuchło głośnym płaczem. Nie zwracając na to żadnej uwagi, wypadł na ulicę. Było mu tak, jakby go ktoś silnem uderzeniem pięści w głowę zamroczył. Nie mógł zebrać myśli, nie mógł sobie uświadomić, co mu czynić przystoi. W mózgu miał chaos, gardło ściśnięte nerwowo, w sercu lodowatą pustkę.

— Dobry wieczór panu, co za miłe spotkanie! zupełnie, jakbyśmy się umówili, a może to takie przyciąganie magnetyczne? — Kazia uśmiechnięta najsłodszym ze swoich cukrowych uśmiechów, wyciągała ku Julianowi rękę na powitanie. Uścisnął ją machinalnie w milczeniu.

— Właśnie myślałam o panu, a pan z pewnością myślał także o mnie i dlatego spotkaliśmy się! To jest niesłychanie abstrakcyjne!...

Julian był zbyt zdenerwowany i wzburzony, aby mógł cośkolwiek odpowiedzieć. Kazia jednak nie zdetonowana jego milczeniem, szczebiotała dalej:

— Idziemy do kawiarni na kawę. A tak dzisiaj ślisko... Pan mi zechce podać ramię. Przypuszczam, że pan to zrobi z przyjemnością — zajrzała mu zalotnie w oczy.

— Naturalnie — bąknął, aby coś powiedzieć.

Kazia wsunęła mu rękę pod ramię.

— Będziemy sobie szli jak para narzeczonych, czy dobrze?

— Bardzo, bardzo dobrze — wymówił bezmyślnie. Szczupłe ramię Kazi, nader zręcznie uzupełnione odpowiednio skrojonym rękawem u płaszcza, nie promieniowało prądem elektrycznym, jaki przenikał Woźniewicza przy zetknięciu ze Stefką. Ale głos jej umiejętnie modulowany i słowa łagodne, przylepne, zaczęły mu w tej chwili sprawiać ulgę i przyjemność. Był to kontrast do brutalnej sceny, jaka rozegrała się przez chwilę w mieszkaniu Stefy. Kontrast ten oddziaływał kojąco na podniecone nerwy obrażonego w swych najgłębszych uczuciach młodzieńca.

Pomyślał, że Kazia jest jednak bardzo dobra i sympatyczna. I taka jakaś delikatna...

— Więc pan chciałby być moim narzeczonym?

Przez chwilę milczał, zaskoczony tem obcesowem pytaniem. Jakże jednak zaprzeczyć? byłoby to niegrzecznie, a Woźniewicz nie lubiał być niegrzecznym. Zwłaszcza teraz miałby dotknąć osobę, która mu tyle życzliwości okazuje?

— Oczywiście, że chciałbym...

Kazia przytuliła się mocniej do ramienia.

— Niedobry pan jest — szepnęła.

— Ja niedobry? dlaczego? — zdziwił się.

— Pan mówi takie rzeczy, że ja się muszę rumienić.

— Nie! ja chyba nigdy kobiet nie zrozumiem — pomyślał Woźniewicz. — Cóż ja jej takiego powiedziałem, przecież właściwie to ona mówi, a ja jej odpowiadam tylko...

— Przepraszam panią, ja doprawdy nie chciałem...

— No, no, niech pan nie udaje skromnisia. Ja się zresztą na pana nie gniewam. Panu jestem gotowa dużo, dużo przebaczyć.

— Co ona mi ma przebaczać — snuło się Julianowi w mózgu — widocznie jednak zawiniłem...

— Jaka pani dobra, że mi przebacza!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staroszewskiej.

TOM II.

— Wiesz, byłem tak chory, że stałem się strasznym egoistą. Myślałem tylko o sobie. Uczyniłem niewolnicę z mojej żony i zatrzymałem cię tak długo zdala od Londynu.

Mówiąc to, głos jego stawał się cieplejszy. Zdawało się, że przyjaciel budzi się w pacyencie. Pomimo, że z pewnością nie zdawał sobie z tego sprawy, nieobecność żony wpłynęła na zmianę jego uczuć względem Isaacsona. Pragnął usunąć wszystkie trudności pomiędzy nimi, a to mogło nastąpić tylko wtedy, kiedy Isaacson lepiej pozna i zrozumie Ruby. Gdyby mógł tego dokonać zanim Ruby powróci!

Isaacson otworzył usta, żeby po przyjacielsku zaprzeczyć, lecz Nigel ciągnął dalej.

— A wiesz, kto zwrócił mi uwagę na ten egoizm?... kto dał mi poznać do jakiego stopnia zapominam o sobie?

Isaacson milczał.

— Moja żona. Otworzyła mi oczy. Bez niej nie pomyślałbym o twoich stratach... nietylko materyalnych, lecz...

Isaacson miał wrażenie, że go coś jadowitego ukąsiło.

— Proszę cię, nie mów o niczem takiem — przerwał.

— Wiem, że nigdy nie będziemy mogli ci się wywdzięczyć za wszystko, co dla nas uczyniłeś...

— Owszem.

Głos doktora był prawie ostry.

— Możemy, jak?

— Ty możesz — rzekł Isaacson z naciskiem na zaimku.

— Jak?

— Po pierwsze, nie mówiąc nigdy o... o zwykłem „wywdzięczeniu", które pacyenci są winni lekarzowi.

— Lecz, jak chcesz, żebym przyjął twoją usługę i nic w zamian nie uczynił?

— Może mógłbyś uczynić mi w zamian usługę... jedyną usługę, której pragnę.

— Jaką?

— Nie... nie mogę powiedzieć teraz.

— A kiedy?

Isaacson się zawahał. Twarz jego była pełna wyrazu. Wyglądał jak człowiek bliski jakiegoś wybuchu.

— Nie mogę powiedzieć teraz — powtórzył.

— Lecz musisz mi powiedzieć.

— We właściwym czasie. Pytałeś się mnie przy obiedzie jaką była właściwie twoja choroba. Zauważyłeś, że nie chciałem ci powiedzieć. A więc dobrze, powiem, zanim mnie pożegnasz.

— Pożegnać ciebie!

— Tak, tak! Nie myśl, że nie zrozumiałem, co chciałeś mi dzisiaj powiedzieć. Chciałeś mnie w przyjacielski sposób przekonać, że teraz, kiedy moje zadanie skończone, już czas, żebym wyjechał.

Nigel był bardzo dotknięty.

— Nic podobnego — rzekł. — Tylko moja żona przedstawiła mi, jaką straszną stratą dla ciebie musi być cały ten czas spędzony tutaj.

— Jest coś, co chcę, żebyś mnie zrozumiał, Armine, zanim cię opuszczę. I kiedy to powiem, będziesz mógł mi dać jedyne wynagrodzenie, które pragnę, a pragnę bardzo... bardzo.

— Nie powiesz mi teraz?

— Nie dziś... nie w pośpiechu.

Wstał.

— Kiedy spodziewasz się powrotu Mrs. Armine — zapytał.

— Za cztery noce. Potrzebuje dwóch pełnych dni w Kairze. A podróż w jedną i drugą stronę zajmie dwie noce.

— Powiem ci przed jej powrotem — rzekł Isaacson i zeszedł do ciemnego ogrodu.

Znalazłszy się sam, wyrzucał sobie w duchu swoje uniesienie. Słowa Nigla przypomniały mu, że to wszystko musi się skończyć i to bardzo prędko. Widział teraz, że zwlekał z dnia na dzień nie decydując się na nic stanowczego. Mrs. Armine okazała się silniejszą od niego. Ona przez Nigla wyrwała go z tego pozornego spokoju, zmuszając do uczynienia tego co sama postanowiła. Ale jej działanie w ciemności wywoła jego działanie w świetle.

To było nieuniknione. Myśleć, że jej wyjazd do Kairu był ucieczką od męża, Isaacson miał powód się wahać. Gdyby Bella Donna znikła, po co jeszcze więcej dręczyć Nigla? Niechby ją utracił nie wiedząc o niej wszystkiego. Lecz gdyby wróciła, gdyby on, Isaacson, musiał wyjechać... a jego wyjazd w każdym razie byłby wkrótce nieunikniony... w takim razie za wszelką cenę prawda powinna zostać wyjawioną.

Chodząc po ogrodzie starał się przygotować do najtrudniejszego, najstraszniejszego obowiązku nałożonego mu przez życie.

Wróciwszy na taras nie zastał już Nigla; poszedł się położyć.

Dzień następny przeszedł bez słowa o rozmowie poprzedniego wieczoru. Mówili o rzeczach obojętnych. Lecz chmura wzajemnej powściągliwości znowu ich okryła i pogawędka nie była swobodną.

Nowy dzień się zaczął.

Mrs. Armine była już nieobecną od dwie noce i jeżeli nie zmieni projektu, opuści Kair następnego dnia wieczorem. Żaden list od niej nie nadszedł. Czy powróci? było pytaniem, które Isaacson wciąż sobie zadawał. Jeżeli powie, a ona nie wróci, ugodzi w serce swego przyjaciela bez potrzeby. Ale jeżeli wróci a on nie powie?

Stał się pastwą wątpliwości i sprzecznych instynktów. Nie wiedział co czynić. Lecz w głębi ducha czy nie odzywał się głos, jak ustawiczny szum oceanu szepcząc ciągle jedno i to samo?

I nieraz... chociaż starał się na niego nie zważać... ten głos, odzywający się w duszy każdego człowieka ostrzegał go, że prawda jest siłą i że z słabości nigdy nic dobrego nie wyniknie.

Lecz wyjawienie pewnych prawd wydaje się zanadto okrutne, a jak można być okrutnym dla człowieka zaledwie powracającego do zdrowia?

Może coś zajdzie niespodzianie i przeważy szalę... jakieś zewnętrzne zdarzenie. Co? tego Isaacson nie wiedział. Rzeczywiście dziecinstwem było spodziewać się czegoś. Rozumiał to, a jednak się spodziewał.

I zdarzenie to nadeszło i tego samego dnia. Późno po południu nadszedł telegram do Nigla. Ibrahim przyniósł go na taras, gdzie obaj panowie siedzieli. Nigel otworzył z pośpiechem, którego nawet nie starał się ukryć.

— To od niej — rzekł. — Wyjeżdża dzisiaj wieczorem i przyjeżdża jutro rano. Tak pragnie być prędko z powrotem, że zatrzymała się w Kairze tylko jeden dzień.

Spojrzał na Isaacsona.

— Czy coś się tobie stało? — zapytał.

— Nic, dlaczego?

— Wyglądasz jakoś nieswój.

— Czuję się zupełnie dobrze.

Prawie natychmiast Isaacson znalazł jakiś powód i wyszedł. Już postanowił. Wewnętrzna walka się skończyła. Lecz było mu źle, strasznie, czuł się zdenerwowanym do najwyższego stopnia, jak człowiek skazany na śmierć i który nie wie, kiedy ten wyrok zostanie wykonany.

Machinalnie poszedł na brzeg Nilu.

Woda wyglądała jak lustrzana tafla przyciemniona gdzieniegdzie wskutek prądu. Z powodu jakiejś atmosferycznej przyczyny rzeka wydawała się wyższą i przeciwległy brzeg bliższym, niż zwykle. Nigdy jeszcze Isaacson nie został tak uderzony cudowną przeźroczystością powietrza Egiptu. Nawet przy całem swem udręczeniu był zmuszony stanąć i podziwiać.

Jak wszystko wydawało się bliskie. Jak każdy szczegół się uwidaczniał w tem rozkosznem świetle wieczornem.

Oczy jego zatrzymały się na Lonlii. Ona także wydawała się dziwnie bliska, dziwnie wyrazista. Początkowo patrzał na nią tylko z tego powodu, lecz wkrótce zauważył na niej niezwykły jakiś ruch. Ludzie biegali po jednym i drugim pokładzie.

— Co ten ruch oznaczał?

Właściciel Lonlii był pewnie spodziewany... człowiek, którego Isaacson widział powożącego rysakami, a następnie w łachmanach przykucniętego w ciemnej palarni haszyszu.

A Bella Donna spieszyła się z powrotem po jednej tylko nocy w Kairze!

Isaacson zapomniał o cudownej piękności schylającego się dnia. Po kilku minutach wrócił do domu. Lecz zaraz po obiedzie, zostawiwszy Nigla na tarasie poszedł znowu na brzeg Nilu.

Lonlia była cała oświecona. Światło jaśniało z każdego okna kajut, a załoga „czyniła fantasia". Niektórzy tańczyli.

Stał przez kilka minut słuchając i patrząc. Myślał o pewnym pociągu idącym do Luksoru. Przeszedł spiesznie przez ogród i wrócił na taras do Nigla.

Nie mógł się oprzeć wewnętrznemu głosowi, musiał mu być posłusznym.

— Lonlia jest dzisiaj ożywioną — odezwał się Nigel.

— Tak — odpowiedział Isaacson.

Zapaliwszy cygaro usiadł obok przyjaciela. Światło wpływało na taras przez otwarte drzwi salonu. Po przez wodę dochodziły przenikliwe dźwięki piszczałek i głuche uderzenia darabukkeh.

— Cały statek jest oświetlony — dodał.

— Tak? Może Barondi przybył na rzekę.

— Na to wygląda — rzekł Isaacson.

Przekładał nogę na nogę. Jeszcze nigdy nie czuł się takim tchórzem. Wiedział, co ma czynić. Wiedział, że musi to uczynić zanim wrócą do pokoju. Jednak zwlekał. Myślał: — kiedy wypalę cygaro.

— Nie widziałeś Barondi'ego — rzekł Nigel. — Jeden z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziałem. Silny jak byk; niezmiernie bogaty; dobry człowiek także, muszę przyznać. Lecz nie zdaje mi się, żeby moja żona go lubiła. Nie jest w guście kobiet.

— Dlaczego tak myślisz?

— Nie wiem. Może jego sposób bycia. I nie wydaje się, żeby o to dbał. Lecz widzieliśmy go tylko dwa razy z wyjątkiem w czasie podróży na okręcie. Był tutaj na obiedzie, a następnego dnia zwiedziliśmy z nim Lonlię i od tej pory nie widzieliśmy go wcale. Podążył w górę rzeki, a my w dół, do Fayum.

— Ale... ty pojechałeś sam do Fayum, czy nie? Na początku.

— Oh tak. Następnego dnia po odpłynięciu Barondi'ego do Arnaut.

— I Mrs. Armine zostawała tutaj sama?

— Tak. Tylko tyle, żebym miał czas coś dla niej urządzić. Nie mieliśmy wielkiego zbytku, co prawda, ale ona o to nie dba.

— Czy to nie było trochę nudno dla Mrs. Armine przez cały ten czas?

— Jaki czas? Myślisz w Fayum?

— Myślę, kiedy bawiłeś sam w Fayum.

— Przypuszczam, że było, ale cóż z tego?

— To...

Isaacson odrzucił cygaro.

— Nie kończysz cygara? — rzekł Nigel.

Widocznie słowa i zachowanie się przyjaciela zaczynały go dziwić.

— Nie — rzekł Isaacson — nie chce mi się palić. Chcę z tobą pomówić. Muszę. Pamiętasz naszą rozmowę tego wieczoru, kiedy Mrs. Armine wyjechała.

— O mojej chorobie?

— Tak.

— Rozumię się.

— Powiedziałem wtedy, że nie przyjmę materyalnego wynagrodzenia za to, co dla ciebie uczyniłem.

— Tak, ale...

— I powiedziałem, że możesz mnie wynagrodzić w inny sposób.

— W jaki sposób?

— To właśnie, co chcę tobie teraz powiedzieć. Ale... to nie łatwo. Chcę, żebyś zrozumiał... żebyś mnie dobrze zrozumiał.

Nastała chwila milczenia i Nigel się odezwał.

— Ale co? co mam zrozumieć?

— Armine, czy wierzysz w moją przyjaźń dla ciebie?

— Tak.

— A przecie przez cały ten czas postępowałeś ze mną, jakbym był zaledwie twoim znajomym.

Nigel miał wygląd nieszczęśliwy.

— Nie myślałem... głęboko ci jestem wdzięczny — rzekł — głęboko wdzięczny. Uratowałeś mi życie.

— Uratowałem rzeczywiście — rzekł Isaacson poważnie. — Gdybym ci nie był towarzyszył na rzece, z pewnością byłbyś umarł.

— Powiedziałeś, że powiesz, co to właściwie było.

— Owszem, powiem teraz.

— Więc co?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

„Difficile est satiram non scribere“... powiedział jegomość, umiejący widocznie po łacinie, gdyby bowiem nie był władał tym językiem, nie byłby się z pewnością tak odezwał. Kronikarz nie był nigdy zbyt mocny w łacinie, użyje zatem języka polskiego, mówiąc, że trudno jest napisać kronikę nie narzekając na jakieś nowe dolegliwości, wyłażące z pod ziemi, niczem grzyby po deszczu. Teraz mamy sezon rydzów, niestety, nie widzimy ich, kłopotów natomiast i zmartwień aż zawiele.

Kochany nasz Rząd, aby dać nam dowód, że o nas pamięta, podniósł znowu z dniem 1 października ceny tytoniu i to o sto procent, dając w ten sposób piękny przykład wszelkiego rodzaju paskarzom i lichwiarzom, jak mają drzeć skórę ze swych bliźnich. Ostatnia podwyżka cen nastąpiła we wrześniu, narzekaliśmy już wówczas, dziś należałoby powtórzyć to samo w jeszcze większym stopniu, gdyż jest to poprostu rozbój na gładkiej drodze, kazać sobie płacić takie sumy za to, co przed wojną kosztowało tysiąc razy mniej i było co do gatunku bez porównania lepsze. Paczka tytoniu fajkowego (zwykły śmiertelnik tylko na taki może sobie pozwolić..) kosztuje dzisiaj tylko... siedmdziesiąt pięć marek, a nie należy tracić nadziei, że w listopadzie podniesie się znów o sto procent, tak samo potem w grudniu i tak dalej aż do skutku, to jest aż ludzie, doprowadzeni do ostateczności przestaną zupełnie palić i przekonają się, że się można obejść bez tego.

Skarb państwowy robi na tej podwyżce dobry interes, ale daleko lepszy robią paskarze, którzy wykupują tytoń w jednym miesiącu, aby go po wyższych cenach sprzedać w następnym. I tem się właśnie tłómaczy, że w trafikach tytoniu stale brak, a kupujący dowiaduje się, iż albo *jeszcze* go niema, albo *już* go niema, a ten jeden lub dwa dni, przeznaczone na jego sprzedaż, przemijają tak szybko, że uchodzi to uwagi konsumentów, skazanych wobec tego na lichwiarski wyzysk paskarzy.

Poprzednie podwyżki uzasadniano drożyzną materyału surowego lub zwiększeniem się kosztów przeróbki, pocieszając ogół, że jakość sprzedawanego artykułu wybitnie się poprawiła, o ostatniej zawiadomiono palaczy bardzo lakonicznie. Na każdym kroku spotyka się też z narzekaniem na ten wyzysk, którego ofiarą padamy wszyscy, w ślad za podwyżką cen tytoniu drożeje wszystko inne, dobry przykład znajduje zawsze chętnych naśladowców.

Stosunki, jakie obecnie panują u nas, stają się powodem irytacyi, ta zaś może bardzo łatwo przyczynić się do pogorszenia zdrowia i tak już niewiele wartego. A z tem trzeba być bardzo ostrożnym już choćby tylko ze względu bezrobocia pracowników aptekarskich, którzy od tygodnia przeszło zaprzestali kręcić proszki i pigułki, upominając się o polepszenie swego bytu materyalnego. Przeniesienie się zatem do lepszego życia przy pomocy lekarskiej i aptekarskiej jest obecnie połączone nie tylko z kosztami, lecz i z trudnościami. Na wydanie lekarstwa w aptece trzeba czekać nieraz i całymi dniami i stąd to pochodzi, że Urząd statystyczny wykazuje, za ubiegły tydzień, to jest za czas trwania strajku aptekarskiego, zmniejszenie się śmiertelności w mieście o dwadzieścia siedm i pół procent. Ma zatem i strajk aptekarski swe dobre strony dla ogółu, narzekają nań natomiast przedsiębiorcy pogrzebowi i, idąc za ogólnym duchem czasu, podnoszą też ceny za swe świadczenia, spokojni o to, że żaden z nieboszczyków nie zaskarży ich o lichwę, gdyż takiego wypadku dotąd nie było.

Ze względu więc na szlachetne zdrowie, by się snać nie popsowało, nad podwyżką cen tytoniowych przejść musimy milcząco do porządku dziennego, czego jednak każdy z nas palaczy życzy w duszy inicyatorom tej nowej podwyżki, o tem oni sami wiedzą najlepiej. Życzenia te są równobrzmiące ze składanemi pod adresem wszystkich tych, którzy przyczynili się do wywołania wojny. Zmarłym życzymy, aby z piekła nie wyjrzeli, żyjącym, aby „wleźli w konia“ i to fiakierskiego, bo i one mają dość powodów do stękania na swą dolę.

Podrożenie tytoniu, bez którego ostatecznie obejść się można, a niejeden nawet musi, nie jest przecież niczem w porównaniu z szalonym poprostu wzrostem cen węgli, które drożeją, nie jak tytoń, raz tylko w miesiącu, lecz przynajmniej trzy razy. Jeszcze się należycie nie przebolało komunikatu Urzędu opałowego, że cetnar kosztuje tysiąc sześćset marek, a tu już pojawia się nowe, donoszące, że odtąd cena jego wynosić będzie tysiąc ośmset, „aż do odwołania“, to jest najwięcej na przeciąg jednego tygodnia. Ponieważ zaś zbliża się zima, to jest pora, w której nie można się spodziewać upałów, raczej należy być przygotowanym na mrozy, grozi nam mieszczuchom, którzy „nie siejemy i nie orzemy“ ani nie bawimy się w pasek, alternatywa: w zimie zginąć z głodu lub z mrozu. Przy uposażeniu, jakie posiada umysłowo pracujący inteligent, ani rusz pomyśleć o tem, aby sobie módz pozwolić na takie zbytki, jak regularne odżywianie się w dobrze ogrzanym pokoju. Cheesz bodajby jakotako zjeść od czasu do czasu, na kupno opału absolutnie ci nie wystarczy, zakupisz zaś węgiel lub drzewo, na jedzenie brak pieniędzy. Cała w tem nadzieja, że w tym roku będzie się można obejść bez opalania mieszkań, tak przynajmiej przepowiedziała śp. pani de Thebes. Onegdaj przyśniła się kronikarzowi w nocy i oświadczyła, prosząc, aby o tem zawiadomił szerszy ogół, że tegoroczna jesień będzie piękna i długa, zima zaś bardzo lekka. Słowa jej powtarzamy na jej odpowiedzialność. Myliła się niejednokrotnie za życia, nie jest zatem wykluczonem, że tembardziej może się mylić i po śmierci. Kogo zatem stać na to, niech się zaopatruje na wszelki wypadek w materyały opałowe, aby miał przy czem się zagrzać i posiłek ugotować, równocześnie zaś i w artykuły spożywcze, bo i cóż mu z tego, choć piec ciepły, gdy niema nic na nim. A wszystko drożeje jeszcze bardziej, i dlatego wszelkie artykuły codziennego użytku wykupują tak skrzętnie paskarze, płacąc za nie każdą cenę, bo wiedzą, że za miesiąc na tem jeszcze zarobią. Przykład tytoniowy działa na nich podniecająco.

Rozmaite podwyżki cen tłómaczymy sobie w różny sposób: podrożeniem surowca, przeróbki, cła i dowozu, zwiększeniem się kosztów prowadzenia gospodarstwa i t. d. Przysłowie powiada, że kto chce psa uderzyć, ten kij znajdzie, zupełnie to samo potrafią sprzedający, mający zawsze na końcu języka uzasadnienie każdej nowej podwyżki cen. Na ich wywody kiwamy wprawdzie nieraz głowami, lecz ostatecznie musimy się na nie zgodzić, bo i jak się tu obejść, dajmy na to, bez chleba lub ziemniaków?...

Są jednak pewne przedmioty, których podrożenie i to bardzo gwałtowne, z trudnością tylko znaleść może uzasadnienie. I tak naprzykład przyszła onegdaj kronikarzowi, gdy w pewnym sklepie ujrzał wystawione na sprzedaż zające, płocha myśl, broń Boże, nie kupić bodaj jedną sztukę, lecz zapytać się ile też kosztuje. Dowiedział się, że tylko... trzy tysiące pięćset marek, i to najmniejsza sztuka. Że kura lub gęś gwałtownie podrożała, tłómaczy się to zwiększeniem się kosztów ich żywienia, ale do zająca nie da się to tłómaczenie zastosować, gdyż on żywi się sam, nie oglądając się na łaskę pańską.

Aby zbadać przyczyny, zainterpelował kronikarz w tej kwestyi jednego z agraryuszy, znanego mu jako zapalonego myśliwego i dowiedział się od niego, że proch i śrut ogromnie podrożały i trudno w nie się zaopatrzyć. Na uwagę, że taka podwyżka nie jest przecież tak wielką, aby zając po śmierci miał aż tak wysoko podskoczyć, dowiedział się, że przy sprzedawaniu dolicza się do ceny także wartość zniszczonych przez zające ziemiopłodów. Ponieważ zaś odnośnemu panu obgryzły w tym roku te żarłoczne łajdaki trzy główki kapusty, cenę ich dolicza do każdego zająca sprzedawanego do miasta.

— To jeszcze w każdym razie do trzech tysięcy pięciuset marek daleko... — zauważył kronikarz.

— A nic pan nie liczy za zdarcie butów, gdy łażę za nimi po polu ? — agraryusz na to — A strata czasu ?

— Szanowny pan ma jednak przyjemność mogąc zadowolić swe myśliwskie zapały... To się powinno odliczyć!

— Co to, to nie!... Teraz takie już czasy, że się nic nie odlicza, tylko dolicza...

Ta argumentacya, podyktowana w samej rzeczy duchem czasu, musiała pozostać bez odpowiedzi. Z apetytem wspomina kronikarz dawne czasy, gdy za guldena można było kupić zająca. Cała rodzina miała bal, cieszyła się nawet służąca, mogąc skórkę sprzedać żydowi za pięć centów, co stanowiło jej boczny dochód i wynagrodzenie za pomoc, udzieloną poczciwemu zajączkowi przy rozbieraniu się z futra. W dzisiejszych warunkach na taki zbytek, jak kupno zająca, pozwolić sobie może tylko paskarz, i to nie ladajaki, ale hurtowny, lub też lichwiarz walutowy, bo teraz właśnie ich sezon.

Kto jednak wie, czy zjedliby go z apetytem, gdyż tak pierwszym jak i drugim zepsuł dużo krwi nowy minister skarbu, który obiecał się zabrać na seryo do sanacyi naszych finansów i zwłaszcza tym ostatnim, to jest lichwiarzom walutowym, wypowiedział walkę na śmierć i życie. W pierwszej chwili obleciał ich blady strach, a dusza (o ile ją posiadają!...) znalazła się na ramieniu, stan ten jednak trwał stosunkowo krótko. Tłómaczyli sobie, że każdy minister, rozpoczynając urzędowanie, obiecuje dużo, w rezultacie jednak wiele z tych obietnic pozostaje na zawsze w sferze pobożnych życzeń. Poza tem minister Michalski wziął się zanadto seryo do czyszczenia Augiaszowej stajni i to już od pierwszych dni swego urzędowania, co się bardzo wielu, nietylko jednostkom, ale nawet i całym stronnictwom nie podoba, można się zatem spodziewać, że w krótkim już czasie czeka go los taki sam, jak poprzednio dra Bilińskiego. Będą pod nim dopóty kopać dołki, aż się zrazi, rzuci całą robotę, a wtedy wrócą znów dobre czasy i będzie można „uczciwie“ i bez strachu zarobić na kawałek chleba, nie potrzebując się oglądać z jednej strony na pana Michalskiego, z drugiej zaś na gmach św. Michała.

Gabinet Ponikowskiego urzęduje już prawie miesiąc z tą jedynie zmianą, że, gdy rozpoczynał swe ciężkie zadanie jakie ma przed sobą do spełnienia, miał w swem gronie ministra aprowizacyi, a nie miał ministra skarbu, obecnie jest zaś przeciwnie. Minister aprowizacyi, Wyczółkowski, nim zasiadł na fotelu ministeryalnym, podał się do dymisyi, narazie kierownictwo tego ministerstwa oddano wiceministrowi, tych bowiem u nas nie brak. Sprawy aprowizacyjne wyjdą na tem może i lepiej, dotychczasowe doświadczenie nauczyło bowiem, że ile razy mieliśmy ministra, tyle razy aprowizacya szwankowała.

Nowy rząd znajduje się w bardzo trudnem położeniu, mając jako główne zadanie naprawę naszych stosunków finansowych. Do tego powołanym jest przedewszystkiem minister skarbu i dlatego tak trudno było znaleść odpowiedniego kandydata. Wybór padł nareszcie na dra Jerzego Michalskiego i był, jak się wydaje, szczęśliwy, pierwsze już bowiem kroki nowego ministra wskazują na to, że seryo zajmie się uzdrowieniem naszych finansów i nie cofnie się przed najenergiczniejszemi krokami, mającymi go doprowadzić do tego celu. Widzimy to z jego „dwunastu przykazań“ stanowiących kwintesencyę jego programu. Zapowiadają one daleko idące reformy w dziedzinie naszej administracyi i skarbowości, to zaś, co się w nich nie zmieściło, dopowiedział ustnie w swem *exposé* które z tego właśnie powodu bardzo wielu stronnictwom i osobom się nie podobało. Przedewszystkiem więc zażądał dla ministra skarbu prawa decydowania o wszystkiem, co ma jakąś styczność ze sprawami finansowemi, prawo wglądania w gospodarkę wszystkich innych ministrów, zapowiedział wprowadzenie daleko idących oszczędności, zatem zniesienie różnych niepotrzebnych urzędów, w pozostałych zaś redukcyę sił do koniecznego minimum. Przy ściąganiu podatków, danin i należytości skarbowych przyrzekł nie kierować się żadnymi względami, zrezygnował z przymusowej pożyczki, zastępując ją jednorazową daniną.

Na te wszystkie jego projekty zgodzono by się może, gdyż sytuacya finansowa jest naprawdę krytyczna i grozi krajowi rychłą katastrofą, ratunek natychmiastowy jest więc nie tylko potrzebny, ale nawet niezbędny. Jeden jednak z jego projektów wywołał już głośne oburzenie, zwłaszcza wśród socyalistów, uważających go za zamach na prawa ludu pracującego, rzekomo tak ciężko wywalczone.

Otóż minister Michalski, aby podnieść nasz przemysł i handel *ośmielił się* zażądać, by na przeciąg dwu lat zawieszono postanowienia karne, skierowane przeciwko tym z pracodawców i pracowników, którzy przekraczają ustawowo określony ośmiogodzinny dzień pracy. Chcąc poprawić naszą wytwórczość, by módz bodajby słabo rywalizować z zagranicą, widziałby rad by w naszych fabrykach, warsztatach i handlu pracowano na podstawie dobrowolnego porozumienia, nie ośm, lecz dziesięć godzin dziennie, oczywiście tylko tam, gdzie się obie strony na to zgodzą dobrowolnie.

Ten punkt programu spotkał się z bardzo ostrymi atakami prasy socyalistycznej. *Naprzód* zapowiada, że w obronie praw ludu pracującego gotów „pójść na noże“, zapomina jednak, że występując opozycyjnie i to tak ostro, gotów unicestwić cały plan sanacyi, tak mozolnie i sumiennie opracowany przez dra Michalskiego.

Innym nie podoba się zapowiedź ministra o energicznem i bezwzględnem ściąganiu podatków, innym jeszcze groźba walki z lichwą walutową, czyli, że nowy minister skarbu może liczyć na to, iż bardzo prędko złoty się „większość sejmowa“ skierowana przeciw niemu, a tem samem i przeciw całemu gabinetowi Ponikowskiego. Szukamy ratunku, a sami paraliżujemy ruchy ręki, która go niesie.



Wybuch w niemieckiej fabryce chemicznej.

(Do ilustracyi na stronie 3 i 4).

W ostatnich dniach września rozniosły telegramy po świecie wiadomość o strasznej katastrofie, jakiej uległa jedna z największych na świecie fabryk wyrobów chemicznych w Oppau, nieopodal Mannheimu. Z nieznanych bliżej powodów, które prawdopodobnie nigdy nie dostaną się do wiadomości publicznej, nastąpiła eksplozya w części fabryki, zawierającej basen o pojemności kilku tysięcy ton, przeznaczony na zbiornik. Następstwa wybuchu były straszne. Budynki fabryczne przedstawiają jedną kupę gruzów, ponad którymi unoszą się obłoki gryzącego dymu, utrudniające dostęp do miejsca katastrofy i niesienie pomocy nieszczęsnym ofiarom, których ponad tysiąc znalazło przy pracy śmierć lub kalectwo. Sama wieś Oppau przestała istnieć. W miejscu dawnych schludnych domków, zamieszkałych przez siedmiotysięczną ludność robotniczą — ruiny, jak po trzęsieniu ziemi, a na szczątkach domostw grupy płaczących kobiet i dzieci, pozbawionych swych opiekunów i żywicieli. Siła wybuchu była tak ogromna, że odczuto go w promieniu kilkunastu kilometrów, doznając wrażenia gwałtownego trzęsienia ziemi. W sąsiednich miastach prąd powietrza powybijał mnóstwo szyb i uszkodził niektóre budynki, w Mannheimie zabitą została jedna osoba, a kilkadziesiąt odniosło cięższe i lżejsze zranienia. Liczbę ofiar katastrofy określano pierwotnie na tysiąc kilkaset zabitych, a kilka razy tyle rannych, ostatecznie ustalono, że straciło życie 310 ludzi, w szpitalach w Mannheim, Heildelbergu i innych pomieszczono 519 rannych. W kilka dni po wybuchu miano stwierdzić, że pod gruzami znajdują się jeszcze pewna liczba żywcem pogrzebanych i tym przedewszystkiem pospieszono z ratunkiem. Miejscowość Oppau została na pewien czas odciętą od świata, wybuch przerwał połączenie telegraficzne i telefoniczne i uszkodził silnie drogi.

Akcya ratunkowa, z którą natychmiast pospieszono ze wszystkich stron, rozwinęła się bardzo energicznie, wybitny udział wzięły w niej wojska francuskie, rozmieszczone w terenie okupacyjnym. Początkowo utrudniała ją obawa nowych wybuchów, choć dyrekcya fabryki zapewniała, że na jej obszarze niema żadnych materyałów wybuchowych.

Katastrofa w Oppau dała powód do przypuszczeń, że przyczyną jej były próby z jakimś nowym materyałem wybuchowym, dokonywane w tamtejszem laboratoryum, inni byli zdania, że wybuch nastąpił w ukrytym przed óczyma alianckiej Komisyi rozbrojenia tajnym magazynie amunicyi, jakich tysiące znajduje się na obszarze państwa niemieckiego.

Kto miał racyę, o tem nigdy się nie dowiemy, faktem jest tylko, że była to jedna z najstraszniejszych katastrof, jakie dotknęły przemysł niemiecki, a szkody przez nią wyrządzone dochodzą miliarda marek niemieckich, nie mówiąc już o utracie życia i kalectwie kilkuset ludzi.

Fabryka w Oppau, największa z niemieckich i wogóle światowych fabryk aniliny, zatrudniała przed wojną około pięciuset inżynierów i urzędników, oraz ponad 10 tysięcy robotników. W czasie wojny przystosowano ją do wyrobów materyałów wojennych, obecnie produkcya jej zaczynała wracać na normalne tory, co się jednak działo w jej pracowniach, tego tajemnicę zabrali ze sobą do grobu ci, którzy podczas wybuchu stracili życie, wiedzący zaś o niej z ocalałych, z pewnością jej nie zdradzą.



Biały Orzeł na Ratuszu lwowskim: Przytwierdzanie godła narodowego na szczycie wieży.

Pogrzeb ofiar katastrofy odbył się w sposób bardzo uroczysty przy udziale przedstawicieli władz i tysięcznych tłumów ludności. Z okazyi nieszczęśliwego wypadku nadeszły ze wszystkich stron pod adresem rządu niemieckiego wyrazy współczucia, daleko gorętsze przecież zasyłano rodzinom ofiar. Szczególniejszą wdzięczność i uznanie wyrażano wojskom okupacyjnym francuskim, które ochoczo pospieszyły z ratunkiem, pracując gorliwie przy wydobywaniu ofiar z pod gruzów zawalonych budynków, niosły także pomoc osieroconym rodzinom, dostarczając im żywności.

Prawie równocześnie z katastrofą w Oppau wydarzyła się zupełnie podobna w fabryce chemicznej w Kleinlautenburg koło Karlsruhe, gdzie ofiarą wybuchu padło kilku robotników. Fabryka została zniszczoną doszczętnie, szkoda materyalna jest bardzo znaczna.

Biały Orzeł na Ratuszu lwowskim.

Donosiliśmy już w poprzednim numerze o podniosłej manifestacyi narodowej, której widownią był Lwów w dniu 25 września b. r. Dzień ten pozostanie w pamięci Lwowian na wieczne czasy, a w historyi miasta zajmie należne sobie zaszczytne miejsce. W dniu tym odsłonięto uroczyście przy udziale Naczelnika Państwa i licznych dostojników, oraz tysięcznych tłumów, złożonych tak z mieszkańców miasta, jak i z gości, przybyłych na otwarcie Targów Wschodnich, na lwowskiej wieży Ratuszowej Białego Orła, mającego stwierdzić polskość tego grodu.

Biały Orzeł, który odtąd panować ma nad miastem, to dar i dzieło lwowskiego Cechu ślusarzy, którzy tym drobnym na pozór faktem powiedzieli bardzo wiele, gdyż czynem a nie słowem stwierdzili, że mieszczaństwo lwowskie, którego część stanowią, jest polskie, polskiem pozostać pragnie, a polskości swego rodzinnego miasta bronić gotowe do ostatniej kropli krwi. Ręka, władająca sprawnie młotem lub pilnikiem, potrafi również dzielnie władać szablą, jak tego zresztą złożyła już liczne dowody. Manifestując w ten sposób swą polskość, rzuciło mieszczaństwo lwowskie wyzwanie wszystkim tym, którzy wschodnią część Małopolski, a z nią Lwów, pragnęliby oderwać od pnia macierzystego. Ten czyn





Biały Orzeł na Ratuszu lwowskim: 1) Przed zalutowaniem aktu fundacyjnego we wnętrzu godła 2) F. Będkowski w otoczeniu tych którzy zajęci byli przy wykonaniu i umontowaniu Orła na wieży.



Tarcia włosko-francuskie: Uroczystość pamiątkowa na górze Tomba, gdzie w roku 1917 odparto ostatecznie Niemców, usiłujących przekroczyć linię Padu.

lwowskich ślusarzy, którzy samorzutnie powzięli projekt i tak pięknie i rychło go zrealizowali, to wypowiedzenie woli ludu, wymowniejsze daleko niż wszelkiego rodzaju plebiscyty. W tak ciężkich czasach, jakie obecnie przeżywamy, patryotyczne to wystąpienie Cechu ślusarzy lwowskich zasługuje na pełne uznanie, które też prezydent miasta Neuman wyraził w swej mowie, wygłoszonej w dniu uroczystego odsłonięcia Białego Orła, podkreślając, że jest to zasługą tych dzielnych pracowników i ich przełożonego, starszego Cechu, Gustawa Pammera.

I tak w dniu 25 września zdjęto uroczyście zasłonę pokrywającą Królewskiego Ptaka, umieszczonego na wieży Ratuszowej dzień przedtem, w miejsce dwugłowego „gacka", który „zdobił" wieżę od roku 1826. aż do 3. maja 1919, kiedy zniknął z widowni w sposób nie bardzo honorowy, dzieląc w ten sposób los swych panów.



Tarcia włosko-francuskie: Marszałek Fayolle przewodniczący francuskiej misyi wojskowej przybyłej do Włoch z okazyi uroczystości na górze Tomba w towarzystwie ks. Udine.

Godło państwowe, które od dnia 24. września zdobi szczyt lwowskiego Ratusza, wykonane zostało w zaszczytnie znanej lwowskiej pracowni artystyczno-ślusarskiej i budowlanej Franciszka Będkowskiego, przez niego samego przy pomocy werkmistrza Józefa Drezowskiego. Biały Orzeł, imponujących rozmiarów, dochodzący bowiem wysokości do rosłego człowieka, sporządzony został z żelaznej blachy, silnie pocynkowanej, co nie tylko nadaje mu białą barwę, ale ponadto chroni od szkodliwego działania wpływów atmosferycznych. Koronę, dziób i szpony pozłocono silnie dukatowem złotem. Rysunek, wedle którego Orła wykonano, jest dziełem architekta Eugeniusza Czerwińskiego, docenta lwowskiej Politechniki.

Po umieszczeniu we wnętrzu dokumentu fundacyjnego i szczelnem zalutowaniu, wywindowano Orła na szczyt wieży i przytwierdzono w tem samem miejscu, z którego przed dwoma laty ustąpił niedobrowolnie dwugłowiec. Zajęli się tem werkmistrz Drezowski i kapral Straży ogniowej Grzegorz Bukała.

Z okazyi uroczystego odsłonięcia skorzystał starszy Cechu ślusarzy lwowskich, radny miejski Gustaw Pammer, aby publicznie w imieniu mieszczaństwa lwowskiego, jak się sam wyraził, „od młota i kowadła" zaznaczyć, że jest polskiem i takiem na zawsze pozostanie.

Tarcia włosko-francuskie.

Znaną jest powszechnie w świecie stara maksyma, że *graeca fides, nulla fides*, ale na każdym kroku zbiera się dowody, iż można ją stosować także i do narodów z greckiem pochodzeniem nic wspólnego nie mających. Mamy tu na myśli w szczególności Włochów, potomków dawnych Rzymian, zarzucających Grekom niedotrzymywanie danego słowa. Należałoby się zatem spodziewać, że, jeśli kto, to właśnie oni powinniby być wzorem wierności i przyjaźni dla swych sojuszników i to szczególnie takich, z którymi łączą ich nietylko wspólne interesy, ale i wspólne pochodzenie. Tymczasem pokazuje się, że właśnie Włosi w niedotrzymywaniu wiary są mistrzami. Nie bierzemy im oczywiście za złe sprzeniewierzenie się w czasie ostatniej wojny swym sojusznikom z trójprzymierza, był to bowiem związek nienaturalny, lecz podyktowany jedynie koniecznością obrony własnych interesów. Po wybuchu wojny wyłoniły się inne kombinacye, zapewniające im większe korzyści, wyzyskali zatem nadarzającą się sposobność, by uwolnić się z uścisków swych zdeklarowanych wrogów, w których objęcia rzuciła ich konieczność.

Obecnie przychodzi jednak zanotować fakt smutnie świadczący o wierności włoskiej i to wobec narodu, z którym prócz interesu łączą ich i węzły pokrewieństwa. Włosi, specyalnie zaś Zjednoczone Włochy, mają zbyt wiele powodów do wdzięczności dla Francyi, dzięki której potrafiły się zjednoczyć, a w czasie ostatniej wojny obronić swą niepodległość, gdy nawała niemiecka groziła przedarciem się poza linię Padu. Ręka w rękę i ramię przy ramieniu stanęli tu do walki obok Włochów Francuzi i gdyby nie pomoc tych ostatnich, kto wie, jakie losy byłyby spotkały Zjednoczoną Italię. Pamiątkę tych wysiłków, których widownią były ostatnie miesiące roku 1917. obchodzono w końcu września br. bardzo uroczyście, odsłaniając na górze Tomba, pomnik, mający przypominać po wieczne czasy te ciężkie chwile, jakie wówczas przeszły Włochy. Obchód ten powinien był zatem z natury rzeczy stać się też i świętem braterstwa broni francusko-włoskiej. Stało się jednak zupełnie inaczej, czego się z pewnością nikt nie spodziewał. Misya wojskowa francuska, przybyła do Włoch, celem wzięcia udziału w tej wspólnej dla obu narodów uroczystości, a pozostawała pod kierownictwem marszałka Fayolle'a, uczestnika owych krwawych walk, spotkała się pod włoskiem niebem z przyjęciem nietylko zimnem, ale nawet wrogiem. Prasa włoska oczywiście nie chwaliła się tem zbyt głośno, wiadomości o zajściach, jakich widownią był cały szereg miast włoskich, w których misya się znalazła, doszły do nas drogą na Francyę i to dość późno. Łatwo zrozumieć, że we Francyi wywołały one wielkie rozgoryczenie i zupełnie uzasadnione zarzuty pod adresem włoskich sprzymierzeńców. Misya Fayolle'a była przyjęta bardzo serdecznie przez króla Wiktora Emanuela w Turynie, w Medyolanie natomiast przyjęto ją z obrażającym chłodem. Wszędzie o uszy członków Misyi obijały się nieprzyjazne okrzyki z trudem tłumione przez władze włoskie, oficerowie francuscy zażywający wieczorem spaceru po ulicach miasta, byli napastowani przez Włochów. Jeden z nich, chorąży strzelców, był nawet ścigany, tak, że musiał ukryć się w jednej z kawiarni. W Wenecyi powtórzyło się to samo. W mieście, przybranem we flagi włoskie, nie wywieszono ani jednej chorągwi o barwach francuskich. Co gorsza, w czasie ceremonii oficyalnej przed pałacem dożów, sztandar francuski został przyjęty gwizdkami i okrzykami nienawiści. Daremnie włoski minister wojny wzywał tłum do okrzyków: „*Niech żyje Francya!*". Słowa jego nie miały żadnego echa. Tłum przerwał kordon, oddzielił oficerów francuskich od przedstawicieli władz włoskich i doszło do gwałtownej szarpaniny. Sam marszałek Fayolle musiał się schronić do Campanili. Wieczorem bandy manifestantów rozpędziły muzykę, grającą „Marsyliankę". Inni demonstrowali w gondolach przed hotelem, w którym mieszkała misya francuska i aklamowali d'Annunzia. Podjęta przez rząd włoski próba wskrzeszenia braterstwa broni pomiędzy Francyą a Włochami z winy samej opinii włoskiej zawiodła. Prasa paryska widzi w tych faktach nieszczęsny wpływ Nittiego, jest jednak głęboko rozgoryczona, iż marszałek Francyi i to ten sam, który w pamiętnych godzinach tragicznych roku 1917, uchronił Włochy od najścia fali niemieckiej, był narażony na podobne zniewagi.

Niektórzy sądzą, że Włosi żywią jakieś pretensye do Francyi z powodu jej stanowiska w sprawie Rjeki. Według jednak prasy francuskiej, nieporozumienie sięga znacznie dalej. Nieporozumienie, na tle którego powstały opisane wyżej fakta, można, zdaniem prasy paryskiej, nazwać rywalizacyą braci. Cały świat wie, czem są kłótnie familijne, jeżeli jeden z członków rodziny czuje się pokrzywdzony, a co więcej upokorzonym przez świadczenie mu dobrodziejstw.



Tajne zbójeckie organizacye Niemców: Mordercy Erzbergera b. oficerowie niemieccy, Henryk Schultz i Henryk Tillessen.

W kilka lat po bitwie pod Solferino znaleźli się Włosi, którzy wołali: „Niech żyje Sedan" i chcieli się rzucić w ramiona Niemiec. Prasa francuska wyraża życzenie, aby się to nie powtórzyło.

Tajne zbójeckie organizacye Niemców.

Zamordowanie Erzbergera, które niedawno w całym świecie narobiło tyle wrzawy, dało powód do pogłosek, że było dziełem tajnej organizacyi politycznej, mającej za zadanie usuwanie z drogi jednostek niewygodnych lub niebezpiecznych dla wojennej partyi niemieckiej, która nie wyrzekła się chęci odwetu za poniesioną w wojnie światowej klęskę i restytucyi monarchii Hohenzollernów. Każdy pokojowo usposobiony Niemiec był solą w oku tej organizacyi, rozgałęzionej po całych Niemczech, a główną swą siedzibę mającej w Bawaryi. Że istniała w rzeczywistości, przekonano się przy okazyi poszukiwań za mordercami Erzbergera. Śledztwo w tej sprawie toczyło się bardzo ospale, jak gdyby policyi zależało na tem, aby sprawców nie ująć w swe ręce, a tem samem uchronić od czekającej ich odpowiedzialności. Nie chodziło tu może tyle o samych morderców, ile o osobistości stojące poza ich plecami i kierujące całą akcyą.

Los zrządził, że policya nareszcie wpadła na trop morderców, ujęła ich i wykryła istnienie tajnej organizacyi o celu wyżej wymienionym. Dla nas Polaków, wiadomość ta nabiera tem większej wagi,



Tajne zbójeckie organizacye Niemców: Przewódca niemieckiej partyi wojennej, jen. Ludendorff w rozmowie z byłym prezydentem Habrem, i dyrektorem monachijskiej policyi Pechnerem.

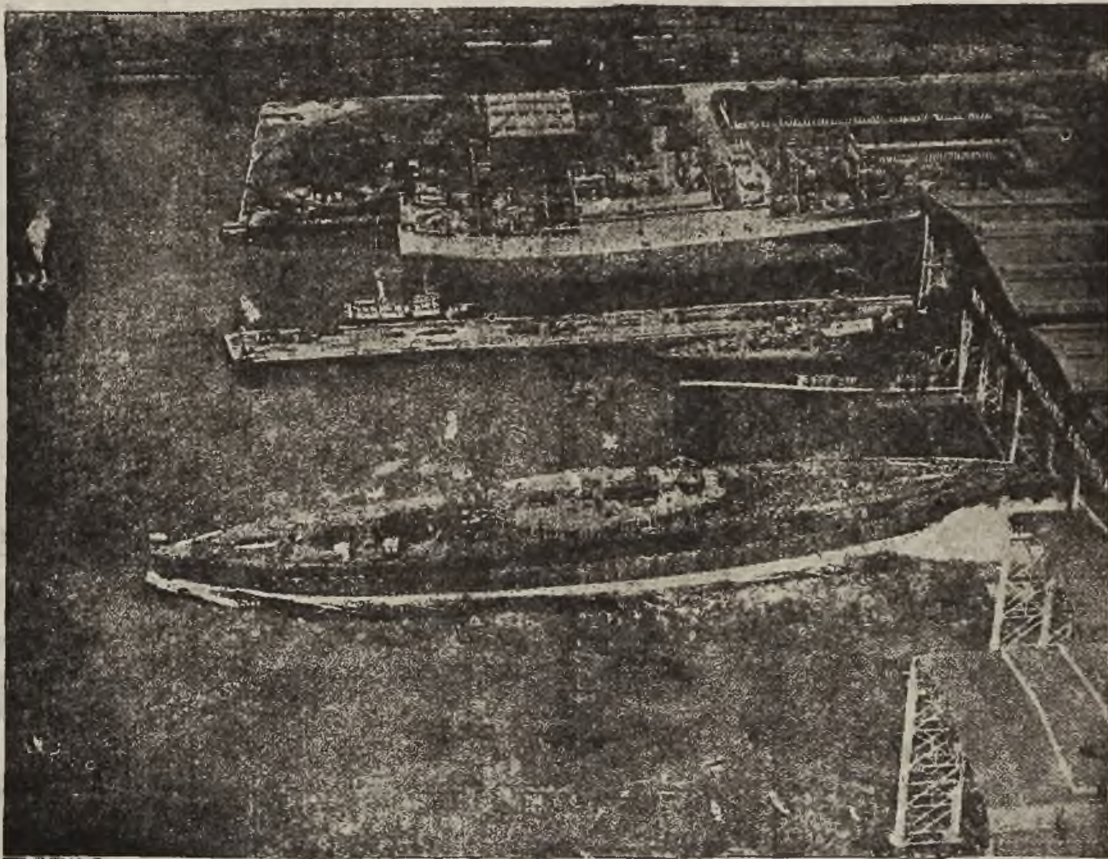
iż działalność organizacyi kierowała się także i na Górny Śląsk.

Według doniesień zagranicznej prasy organizacya ta składała się z członków korpusu ochotniczego „Oberland", złożonego przeważnie z Bawarczyków, mianowicie oficerów, podoficerów i bezrobotnych elementów. Głównym organizatorem i komendantem tej tajnej organizacyi był kapitan Kiefer, który występował pod pseudonimem Kessel. Ow Kessel został nareszcie aresztowany przez policyę monachijską. Równocześnie skonfiskowano mu kasę wojskową, wynoszącą 18 milionów marek. Kessel finansował t. zw. „Selbstschutz" na Górnym Śląsku, organizowany jak wiadomo przeciwko Polakom tamtejszym. Organizacya posiadała swoje szpiegowskie filie i biura werbunkowe w całych Niemczech. Utrzymywała ona ścisły kontakt z policyą monachijską. Na Górnym Śląsku komisya ta działała pod nazwą Wurf-Komando. Zadaniem jej było mordowanie niewygodnych i podejrzanych osób, mianowicie: Polaków górnośląskich, demokratów i socyalistów, czyli zdrajców sprawy niemieckiej. Oczywiście ofiarami morderców padali przeważnie Polacy górnośląscy. Organizacya najmowała drabów którzy nie mieli nic do stracenia, płaciła im po 2000 marek dziennie i dawała im tajne rozkazy, kogo mają usuwać. Zbrodniarze przysięgali na bezwzględne posłuszeństwo tajemniczemu komendantowi. Według opowiadań oficerów, owym tajemniczym komendantem miał być sam Ludendorff.

Mordercy Erzbergera wychowankowie szkoły handlowej, a w czasie wojny oficerowie niemieccy, Schultz i Tillessen, należeli do tej organizacyi zbójeckiej. Jak śledztwo dalsze wykazało, w sprawę tę wmieszanych było więcej osób, w Monachium aresztowano siedmiu byłych oficerów, w Berlinie zaś i Frankfurcie kilku studentów, podejrzanych o współudział w sprzysiężeniu.

Henryk Schultz, urodzony 1893 w Saalfeldzie w Turyngii, syn lekarza, odbył jako oficer niemiecki ostatnią kampanię. Henryk Tillessen, o rok młodszy od poprzedniego, rodem z Lindenthal obok Kolonii, służył jako oficer w wojennej marynarce niemieckiej i jako taki, po jej rozbrojeniu, internowany był jako jeniec wojenny w Anglii, skąd powrócił do ojczyzny w styczniu 1920. W Monachium osiedlili się obydwaj na kilka tygodni przed zamachem, występując tamże w charakterze słuchaczy tamtejszego uniwersytetu. Mieszkali wspólnie u pewnej rodziny i od pierwszych chwil pobytu brali żywy udział w życiu politycznem. Jak ustalono, przebywali obaj w czasie od 21. do 26. sierpnia w pewnym zajeździe w Offenburgu nieopodal Griesbach, skąd, po wykonaniu zamachu powrócili do Monachium, gdzie przebywali do dnia 30. sierpnia, pewni, że dokonali „bohaterskiego czynu", za który czeka ich wdzięczność niemieckiego społeczeństwa. Czy policya szukała ich naprawdę, czy też wpadli tylko przypadkiem w jej ręce, stwierdzić trudno, w każdym razie faktem jest, że za pomoc przy wykryciu morderców wyznaczono z urzędu bardzo wysoką nagrodę.

Ptaszki są zatem w klatce, czy jednak z niej nie wyfruną, tego powiedzieć nie można, gdzie bowiem wchodzą w grę sprawy polityczne, musi się być przygotowanym na różne niespodzianki. Kto wie, czy podobnie jak ongiś u nas Siczyńskiemu, nie ułatwi im jakaś łaskawa ręka swobodny wyjazd za granicę.



Rozbrojenie w teoryi i — w praktyce: Spuszczenie na morze w dokach w Camden (New Jersey) nowego okrętu wojennego amerykańskiego *Washington*. Zdjęcie z aeroplanu.

Rozbrojenie w teoryi i — w praktyce

Jednem z następstw wojny światowej miał być spokój, zaprzestanie kroków nieprzyjacielskich między poszczególnemi państwami rozstrzyganie sporów w drodze polubownego porozumienia, jednem słowem należało się spodziewać czasów prawdziwie sielankowych, przypominających słynny, a znany z „Przemian" Owidyusza, złoty wiek. Wobec tego wszelakie zbrojenia powinny zupełnie ustać, jako do celu nie prowadzące, pocóż bowiem wydawać niepotrzebnie pieniądze na jakieś śmiercionośne narzędzia skoro się ich nigdy używać nie będzie?...

Taka była teorya, tego kazał się spodziewać zdrowy rozsądek, w praktyce pokazało się jednak, że łatwiej teoryę postawić, niż ją w czyn zamienić. O rozbrojeniu mówiono i pisano wszędzie i bardzo dużo, sprawą tą ma się zająć w niedługim czasie kongres w Waszyngtonie, poruszyła ją niedawno Liga Narodów, przyczem wygłoszono szereg mów pięknej formy i treści, uznając potrzebę a nawet konieczność ogólnego rozbrojenia i korzyści stąd płynące, w rezultacie przecież dochodzono stale do wniosku, że musi się być przygotowanym na ewentualne niespodzianki, że zatem trzeba „stać z bronią u nogi." Ponieważ zaś w dziedzinie tej pomimo skończenia się wojny dokonuje się coraz to nowszych wynalazków, każde zaś państwo chciałoby je mieć u siebie, główną rubrykę budżetów stanowią znowu wydatki na cele zbrojeń. W żaden sposób nie można kwestyi ogólnego rozbrojenia przeprowadzić, gdyż trudno znaleźć tego, który chciałby zrobić początek.

Europa wyniszczona zupełnie wojną na zbyt wielkie wydatki w tym kierunku pozwalać sobie nie może, nie zasypia jednak gruszek w popiele. Natomiast Ameryka przygotowuje się nie na żarty do zmierzenia się ze swym wrogiem, choć nie wie dotąd, czy go szukać na Wschodzie, czy na Zachodzie, czy też tu i tam. Interesy amerykańskie kolidują z japońskimi i angielskimi, Stany Zjednoczone muszą też baczną zwracać uwagę na prawo i na lewo, aby nie być zaskoczonymi niepożądaną niespodzianką. Muszą być zatem gotowe każdej chwili do odparcia ewentualnego napadu, wzmacniają też na gwałt swą wojenną flotę, która, aby zagwarantować im bezpieczeństwo, musi być równie silną, jak angielska i japońska razem wzięte. Buduje się więc w Ameryce nowe okręty, wydając na to miliardy zarobione na wojnie, to samo robi Japonia, a także i Anglia. Powtarza się zatem to samo, co było przed wojną. Jedno państwo straszyło drugie swą gotowością, ale je to doprowadzało do ruiny.

Zwiększanie swojej floty przeprowadzają Stany Zjednoczone z gorączkowym pośpiechem. Miliardowe kredyty uchwalono na cele zwiększenia floty, część okrętów wojennych najnowszego typu, wyposażonych w najbardziej postępowe urządzenia, opuściła już doki, reszta jest jeszcze w budowie. W ostatnich czasach spuszczono na morze w Camden (New Jersey) jedną z potężnych jednostek bojowych. Jest nią pancernik *Washington* o pojemności 32.600 ton, długości ponad 180 metrów, zaopatrzony w działa czterdziestocentimetrowe. Tego typu zyskują obecnie Stany trzy sztuki, każda kosztem 150 milionów dolarów, ponadto program flotowy obejmuje sześć krążowników bojowych, których koszta budowy wynoszą po 130 milionów dolarów.

Chrzest nowego okrętu nastręczył pewne trudności. Marynarska tradycya wymaga użycia do tego flaszki szampana, a ten obecnie skazano w Ameryce na banicyę, wobec czego chrzestna matka p. Jane Summers, musiała zastąpić go zwykłą wodą.



Rozbrojenie w teoryi i — w praktyce „Washington" opuszcza doki.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że je lynie ci są uprawnieni do ubiegania się o na grody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył S. S., Biała.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę jed ej z bolączek, dolegających nam już od dłuższego czasu.

Znaczenie wyrazów: 1. Szu any wyraz, 2. Miasto w Polsce, 3. Wielki plac w mieście, 4. Część świata, 5. Dopływ Dunaju, 6. Litery, używane na oznaczenie nieznanego nazwiska, 7 Samogłoska.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył S. Małowski, Zakopane.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek czytane w kolejnym porządku utworzą nazwisko jednego z naszych polityków.

— · — ra
— — wa
— — ra
— — yp
— — no

Logogryf.

Uł żył K. G., Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda smutne zdarzenie z ostatnich czasów.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Dopływ Wisły, 3. Imię męskie, 4. Część budynku, 5. Przydomek jednego z królów polskich, 6. Owad dokuczliwy, 7. Kapłan muzułmański, 8. Wyspa na morzu Śródziemnem, 9 Pobojowisko z roku 1871, 10. Rodzaj zabezpieczenia, 11. Część ciała, 12. Samogłoska.

Grzebieniówka.

Ułożyła M. ubicówna, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwę jednego z miesięcy.

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie, 2. Przezwisko dawane niedołędze, 3. Szlachetny metal, 4. Kraj w Afryce, 5. Miasto powiatowe w środkowej Małopolsce, 6. Księgi święte u muzułmanów.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) A. Gruszeckiego „Pod czerwonym Wirchem" powieść); 2) Kalendarzyk kieszonkowy na rok 1922.

Rozwiązanie zagadek z Nru 38.

Grzebieniówka: Soła, t, Epir, o, zima, k, ogar, w, Sara, k, Igor.

Kwadrat magiczny. Como, Omar, mora, Oran.

Logogryf: P, Don, Ewa, osa, Ito, San, gnu, lis, Fez, iwa, Nil, Ian, oda, syn, Pac, aoh, h.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: Józef Zawadzki Tarnów, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Drohocki Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, S Sygowska Rzeszów, P. Batowski Tarnów, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Planecka Kraków. J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, M. Kubicówna Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, W. Nowotarska Kraków, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, B. Szypulska Wieliczka, A. Wróbel Tarnopol. K. Wilczyński Stanisławów, K. Mańkowska Warszawa, Z. Trembecki Kalisz, M. Grajower, Rzeszów, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, A. Załęska Warszawa, W. Komperdówa Lwów, L. Borek Poznań.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) Józef Zawadzki Tarnów powieść); 2) L. Borek Poznań (broszura). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 15 marek.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.